

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie Rs. 7 kop. —
Półrocznie „ 3 „ 50
Kwartalnie „ 1 „ 75
Miesięcznie „ — „ 60
Za odnośzenie do domu
dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
Półrocznie „ 4 „ 50
Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld. — 18 m.
Półrocznie . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
tor Redakcyi po kop. 10 za
wiersz petitowy lub za je-
go miejsce. Reklamy po
kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
BRACKA Nr. 25.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
zeszyt dzieł naukowych.

PREŚĆ: Bill Balfoura, przez J. H. Siemienieckiego.
Stowarzyszenie subjektów handlowych, przez Bieleckiego.
W mętnej wodzie, przez Ci.
Przemysł domowy w Niemczech, przez J. Książca.
Współzawodnictwo i współdziałanie, przez J. K. Potockiego.
Nauczyciel i nauczycielka, przez X.
Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza.
Głosy: Postanowienie o emigracyi. — P. Pszniczyński. —
Pamiętnik Kostrzewskiego. — „Zgoda“ brazylijska. — Komunikat urzędowy w sprawie teatrów.
Z kraju, przez J. Nieborskiego.
Korespondencyja: z Kamińskiego IV, przez B. N.
Przegląd społeczny: Radom, Łódź, Częstochowa, Lublin, Wilno, Petersburg.
Przegląd polityczny.
Kronika powszechna.
Odpowiedzi od redakcyi.
Ogłoszenia.
Odcinek: Angielka, kartka z podróży, przez C. Walewską. (Ciąg dalszy).
W dodatku: Z zakutego grodu, przez Kazimierza Glińskiego. (Ciąg dalszy).

Bill Balfoura.

W parlamencie angielskim toczą się obecnie rozprawy nad billem Balfoura, mającym na celu uwłaszczenie fermerów irlandzkich. W kilku pismach naszych spotkaliśmy ubolewania, że wobec walki parnelistów z mac-carthystami bill prawdopodobnie większość uzyska. Możnażby ztąd wnosić, że po pierwsze przyjęcie lub odrzucenie billu jest zupełnie zależne od stanowiska irlandczyków, po drugie zaś, że bill ten jest wielce dla Irlandyi szkodliwy. Tymczasem rząd torysowski ma większość w parlamencie zupełnie od irlandczyków niezależną, bill zaś Balfoura nie wywoływał nigdy zasadniczej opozycyi parnelistów. Już w roku 1888 podczas obrad nad billem, uzupełniającym dawny bill Ashbourne'a, okazała się znaczna różnica w poglądach Gladstone'a i Parnella na zadania polityki agrarnej w Irlandyi. Później, z okazji wniesienia billu Balfoura, różnica ta zarysowała się jeszcze wyraźniej. Parnell głosował wprawdzie wówczas przeciw rządowi, czynił to wszakże, jak wyznaje obecnie i jak można było domyślać się wówczas nawet, jedynie ze względu na sojusz swój z liberałami. Jeżeli obecnie oświadcza on, że za billem Balfoura głosować będzie, nie jest to żadną zmianą stanowiska z jego strony, znaczy to tylko, iż po zerwaniu sojuszu z Gladstonem nie widzi racyi głosowania przeciw billowi, który za pożyteczny uważa. Wobec fałszywych objaśnień dzienników naszych nie od rzeczy będzie przypomnieć zarówno treść billu Balfoura, jakoteż i prawodawstwa, które go poprzedziło.

Pierwszem prawem agrarnym, na korzyść Irlandyi wydanem, było prawo Gladstone'a z roku 1870-go. Lud irlandzki w tem okrop-

nem położeniu, w jakim się wówczas znajdował, pragnął przede wszystkim usunięcia najbardziej dolegających mu niesprawiedliwości. Prawo z roku 1870-go miało właśnie na celu zadośćuczynić niektórym z tych żądań. A więc: po pierwsze fermer, opłacający regularnie czynsz dzierżawny, nie mógł być wyrzucony z fermy bez wynagrodzenia za „zakłócenie spokoju”. Po drugie, wydalony fermer otrzymywał odszkodowanie za wszelkie poczynione ulepszenia. Po trzecie wreszcie, prawo z roku 1870 zawierało przepisy, ułatwiające nabywanie na własność dzierżawionych ferm. Prawo to jednak nie dało spodziewanych rezultatów, okazało się ono niebawem zupełnie niedostatecznym. Dopiero jednak rozwój ruchu parnellońskiego i działalność ligi rolnej skłoniły rząd angielski do nowych ustępstw. Liga rolna posunęła się w swych żądaniach dalej, niż poprzednie ruchy agrarne. W programie jej figuruje już nie polepszenie losu dzierżawców, lecz ich uwłaszczenie. Liga żądała podziału ziemi między uprawiających ją rolników, zarazem jednak oświadczała wyraźnie, że nie chce wcale konfiskaty praw landlordów i że pragnie uwłaszczenia fermerów za wynagrodzeniem dotychczasowych właścicieli.

Czy program ligi był najlepszym z możliwych—dużoby dało się o tem powiedzieć. Gotowibyśmy sądzić, że praktyczniejszem byłoby ze względu na przyszłość przyjęcie programu Davitta: wykup ziemi irlandzkiej na rzecz państwa i przemiana fermerów dzisiejszych na czynszowników państwowych. Nie mamy jednak dostatecznych danych, żeby zawyrokować, czy program taki mógł stać się wówczas tak popularnym w Irlandyi, jak program uwłaszczenia. Wobec tego wstrzymujemy się od sądu nad programem ligi, pomnąc słowa Kautsky'ego, że położenie ludu irlandzkiego tak jest opłakane, iż pospieszyć należy z nadaniem mu ziemi w jakiejś bądź formie. W takich zaś razach ratunek najszybszy jest przez to samo najlepszym.

Prawo z roku 1881 jest drugim prawem agrarnym, udzielonem Irlandyi przez Gladstone'a. W bardzo małej mierze czyniło ono zadość życzeniom ligi rolnej, właściwie wracało do hasła dawniejszych ruchów agrarnych—t. j. do polepszenia losu dzierżawców. Najważniejsze postanowienie tego prawa dotyczy „sprawiedliwej dzierżawy” (*fair rent*). Zarówno fermer, jak i właściciel ziemski mogli udawać się do specjalnych urzędów z prośbą o ustanowienie wysokości czynszu dzierżawnego na lat 15. Inne postanowienie zezwala na sprzedawanie przez fermera swego prawa do dzierżawy. Prawo z roku 1881 okazało się na ogół ogromnie pożytecznym, największą jego wadą było, że z dobrodziejstw jego korzystać mogli ci tylko fermerzy, którzy regularnie rentę swą wypłacali. Najubożsi więc, zalegający w opłacie, nie dostawali ulg żadnych. Niesprawiedliwość tę usunięto w roku następnym. Państwo przychodziło z pomocą najuboższemu i wypłacało za nich połowę zaległości, jeżeli landlord kwitował z reszty.

Zadanie uwłaszczenia dzierżawców irlandz-

kich podjęli konserwatyści. Pierwszym krokiem na tej drodze był akt lorda Ashburne'a z r. 1885. Gdy dotąd fermerzy, nabywający swe dzierżawy, otrzymywać mogli ze strony państwa nieznaczną tylko zapomogę, prawo z r. 1885 stanowi, że państwo wypłaca landlordowi całą wartość nabywanej ziemi, odbierając naturalnie należność swą ratami od uwłaszczonego fermera. Na cel ten jednak przeznaczono bardzo skromną sumkę 5,000,000 f. st. (30 mil. rs. w złocie).

Wkrótce potem wystąpił Gladstone ze swymi wielkimi projektami udzielenia Irlandyi autonomii politycznej i uwłaszczenia fermerów. Odrzucenie tych projektów przez większość parlamentu i potwierdzenie tego wyroku izby przez nowe wybory oddało władzę w ręce gabinetu obecnego. Podstawą jego polityki wobec Irlandyi jest opór wszelkim dążeniom autonomicznym i wobec nich gabinet jest nietylko surowym, ale bezwzględny i okrutny nawet. I ten jednak gabinet nie mógł pozostać bezczynnym w kwestyjach agrarnych, i przyznać należy, uczynił już sporo. W r. 1887 przeprowadził on prawo pozwalające urzędem rolnym na nowo rozpatrzyć i obniżyć wyznaczone na lat 15 czynsze dzierżawne, co stało się koniecznością wobec silnego spadku cen na zboże po roku 1881.

Głównym jednak jego zadaniem było dalsze rozwijanie własności chłopskiej w myśl aktu lorda Ashburne'a. Gdy wyczerpały się 5,000,000 f. st., wyznaczone w r. 1885, parlament zawotował drugie 5 mil., a w r. z. Balfour wystąpił ze swym billem, który jest także właściwie dalszem rozwinięciem tegoż samego prawa.

Przedstawiony w r. z. bill Balfoura na cele uwłaszczenia przeznacza 33 mil. f. st. (około 200 mil. rs. zł.), podstawy zaś jego są następujące: Cena kupna fermy zależy wyłącznie od umowy między fermerem a właścicielem, rząd jednak nie daje zaliczek, większych nad 20 razy wzięty czynsz roczny. Zwykłą normą, jak sądzą z dotychczasowego doświadczenia, będzie 16—17 razy wzięty czynsz roczny. Landlord otrzymuje należną mu sumę w papierach państwowych, przynoszących 2 $\frac{3}{4}$ % rocznie. Dzierżawca zaś wypłaca państwu 4 $\frac{1}{2}$ % rocznie w ciągu 49 lat, poczem zostaje nieograniczonym właścicielem swego kawałka ziemi. W kombinacji tej landlord kłopotliwy i niepewny czynsz dzierżawny zamienia na pewne i niekłopotliwe kupony. Zysk zaś fermera wyraża się w tem, że opłaty jego zmniejszają się odrazu najmniej o 20—30%, po 49 zaś latach staje się on właścicielem zupełnym.

Z tych przepisów widzimy, że irlandczycy nie mogą mieć nic w zasadzie przeciw temu prawu. Raczej dziwną wydawać się musi opozycyja Gladstone'a, który sam w r. 1886 wystąpił z podobną propozycyją. Głównym zarzutem liberałów i radykałów angielskich jest niebezpieczeństwo, że z czasem wypłata procentów landlordom spaść może wyłącznie na skarb angielski. Jeżeli bowiem dotąd fermerzy, korzystający z prawa Ashburne'a, wypłacali się bardzo sumiennie, to któż zareczy, że będą postępowali tak i uadal, zwłaszcza np.

po uzyskaniu autonomii. Któż zareczy, że nie odrzucą oni wówczas w zupełności samej myśli o wynagrodzeniu landlordów za ziemię. Jest to istotnie możliwym, co gorsza: niepodobna obmyśleć żadnego zupełnie bezpiecznego środka ochronnego. Balfour w swym billu dla zapewnienia bezpieczeństwa skarbu tworzy fundusz rezerwowy, który złoży się z sum różnych.

Przedewszystkiem w ciągu pierwszych 5 lat uwłaszczeni fermerzy płacić będą do skarbu nie 4% od pożyczki rządowej, lecz 80% do tymczasowej dzierżawy, różnica przelewać się będzie do funduszu rezerwowego. Z drugiej strony landlord otrzyma nie całą należność od razu, lecz tylko $\frac{1}{3}$ jej, pozostałe zaś $\frac{1}{3}$ zostanie czasowo zarezerwowane. Oprócz tego wiele sum, wypłaconych przez skarb angielski na sprawy irlandzkie, również zatrzymanych być może na pokrycie możliwych niedoborów. Ten ustęp billu jest nadzwyczaj skomplikowany i zawily, nie będziemy się więc nad nim zastanawiali, chodziło nam tylko o przedstawienie zasad przewodnich tego prawa.

Podczas rozpraw, toczących się obecnie, jeden z wybitniejszych liberałów, Morley wniósł poprawkę następującą: „żadna pożyczka na kupno ziemi nie może być udzieloną bez zgody rad prowincjonalnych, wybranych według prawa, jakie parlament opracuje w czasie bieżącej, lub przyszłej swej sesji”. Zdaniem wnioskodawcy w ten tylko sposób da się usunąć ogromne niebezpieczeństwo bezpośrednich stosunków państwa, w charakterze wierzyciela 180 — 200,000 fermerów. Tylko interwencja władz miejscowych zapewnić może fermerom, że ziemię nabeżdą po cenie racjonalnej, ona też tylko da gwarancję wypłatności uwłaszczonych. Balfour oponował, utrzymując, że bezpośrednio stosunki państwa z fermerami pozostałyby i po przyjęciu poprawki Morleya, bo radom prowincjonalnym pozostawionem ma być tylko zatwierdzenie pożyczek. Najciekawszymi są jednak wywody Parnella.

Podziela on w zupełności zdanie o konieczności kontroli miejscowej w sprawie uwłaszczenia. Rząd przez usunięcie tej kontroli pogwałcił jedną z kardynalnych zasad parlamentaryzmu. Pomimo to jednak Parnell nie zgadza się na wniosek. Przyjęcie tej poprawki równałoby się odłożeniu uwłaszczenia na czas nieograniczony. Któż zareczy, że rady prowincjonalne ustanowione będą za rok, lub za 2 lata, jak to przypuszcza Morley. O zaprowadzeniu samorządu miejscowego mówi się już od 25 lat. Czy zechcą z taką reformą

pospieszyć nawet liberaliści, głoszący o swem zwycięstwie na przyszłych wyborach, jest rzeczą wątpliwą. Fermer irlandzki od billu Balfoura oczekiwać może zmniejszenia swych opłat o 40 proc. i tego wróbla w rękę nie podobna porzucić dla kanarka na sęku. Z tego powodu wnosi Parnell swoją poprawkę, głoszącą, że po ustanowieniu rad prowincjonalnych w Irlandyi, do nich przejdzie kontrola nad sumami, na cele uwłaszczenia wydawanymi. Przemówienie Parnella wywołało gwałtowną polemikę z Healyem. Ostatecznie wniosek Parnella odrzucono, poczem przystąpiono do głosowania nad poprawką Morleya, która również została odrzuconą większością 247 głosów przeciw 170. Parneliści głosowali tym razem za rządem, maccarthyści zaś wraz z liberałami—przeciw.

J. H. Siemieniecki.

Stowarzyszenie subjektów handlowych.

W dniu 26 b. m. odbyło się szóste z kolei ogólne zebranie członków Towarzystwa subjektów chrześcijan. Towarzystwo to, liczące 1,186 członków, a powołane do życia w r. 1829 uchwałą reprezentantów stanu kupieckiego, istniało pod nazwą „Delegacji subjektów handlowych” do dnia 20 lipca 1884 r. Wskutek zmiany warunków w położeniu subjektów, olbrzymiego rozwoju handlu i przemysłu, znacznego wzrostu miasta i powiększenia się samej liczby subjektów, okazała się konieczna potrzeba rozszerzenia wąskich ram uchwały z r. 1829 i stworzenia nowej ustawy. Konieczność tę zrozumiała Delegacja, a starania w tym kierunku czynione, po dwudziesto-letnim kołataniu uwieńczone zostały pomyslnym rezultatem. W sprawie tej pomocnym był Urząd starszych zgromadzenia kupców m. Warszawy, który przyjął udział w ostatecznym zredagowaniu ustawy i takową przedstawił władzom do zatwierdzenia, co nastąpiło w d. 20/7 1884 r. Na mocy nowej ustawy dawne stowarzyszenie otrzymało tytuł: Towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy, a wybrany zarząd zreorganizowanego Towarzystwa w d. 30/12 1884 r., jako prawny następca byłej delegacji, zażądał i otrzymał od ostatniej księgi i dokumenty, oraz kapitały, jakie posiadała. Główny fun-

dusz, zawarty w papierach procentowych, o nominalnej wartości 7,300 rs., złożony w Urzędzie starszych zgromadzenia kupców m. Warszawy, do ostatnich czasów tam pozostawał i był powodem zatargu pomiędzy reprezentacją kupców a zarządem Towarzystwa subjektów. Kupcy zapatrywali się na tę sprawę z punktu widzenia ustawy 1829 r., tymczasem warunki zmieniły się już o tyle, że obecne Towarzystwo istnieje nie na mocy uchwały kupców i pod ich opieką, lecz na mocy ustawy własnej i pod opieką ogólnych praw. Mimo to nie obyło się bez interwencji prezydenta miasta, do którego się subjekci zwrócili. Nadto zaznaczyć tu wypada, że jeszcze za czasów istnienia delegacji pewna ilość członków, t. j. wszyscy subjekci żydzi, porzucili dobrowolnie delegację i utworzyli nowe, dotąd istniejące stowarzyszenie subjektów wyznania mojżeszowego. Podług brzmienia ustawy, członek, dobrowolnie porzucający stowarzyszenie, żadnych pretensji do wniesionych składek mieć nie może. Tymczasem zarząd towarzystwa subjektów wyznania mojżeszowego, uniesiony wrodzoną pożądlivością, usilnie w ciągu paru lat domagał się podziału pozostałych funduszy. Decyzją magistratu z d. 30/4 1898 r. zarząd upoważniony został do podniesienia 90% z funduszu składającego się: z rs. 7,300 w papierach procentowych, 1,800 w sumie kontraktowej szpitala ewangelickiego; 10% przyznanem zostało subjektom wyznania mojżeszowego. Kiedy jednak zarząd zgłosił się po odbiór należących mu sum, to reprezentacja kupców, złożona przeważnie z żydów, decyzję magistratu rozciągnęła i na pozostałe dwie sumy, t. j. na rs. 1,500, zostające na lokacji w Towarzystwie wzajemnego kredytu i 125, zostające w kasie delegacji. Zarząd nie uznał tego za sprawiedliwe, chcąc jednak kość niezgody na zawsze usunąć i sprawę ukończyć—zgodził się na to.

Zarząd Towarzystwa podzielił się na wydziały: rekomendacji pracy, pożyczek, zapomóg, ubezpieczeń i kupna rabatowego, krzewienia wiadomości handlowych, oraz wydział zebrań towarzyskich. Liczba stowarzyszonych stale wzrasta i już w 1885 r. wynosiła 511, w 1886 r. 666. Rok sprawozdawczy przedstawia imponującą cyfrę 1,186 członków.

Największą niewątpliwie siłą przyciągającą jest wydział rekomendacji pracy. Wydział ten, pomimo rzeczywistego braku fachowo uzdolnionych i wykształconych subjektów z jednej strony, zbyt skromnego wynagrodzenia, przy nadmiernych wymaganiach kupców—z dru-

ANGIELKA

KARTKA Z PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

Jenny, wsparta na ramieniu ojca, od godziny błądziła po bulwarach. Wzrok jej z wytężeniem śledził postacie mijających ją przechodniów. Każdemu z nich patrzyła w twarz bystro, badawczo; za każdym oglądała się, pełna niepokoju. Serce jej biło. Omdlewała ze zmęczenia, a jednak—szła ciągle naprzód i ciągle patrzyła na przechodniów. Twarz jej pałała. Wargi drgały nerwowo.

Było już może około dziesiątej wieczorem, gdy postać wysokiego blondyna mignęła nagle przed jej oczami, niknąc na skrócie bulwaru, z kąd drewniany pomost prowadził do czerwonego pałacyku, rzuconego na wodę Alstern, stanowiącego jeden z miejscowych zakładów restauracyjnych.

Gwar rozmowy i śmiech gości dolatywały ztamtąd na daleką metę.

— Chodźmy tam!—zawołała Jenny, ciągnąc ojca za ramię, na którym była wsparta.

Kilka długich sal, ubranych wachlarzami palm, grotami z kamieni i muszli, prowadziło ku obszernej, półkolistej werendzie, gro-

madzającej kilkanaście grup rozbawionych Niemców.

Wysoki blondyn, którego postać migła ciągle przed oczami Jenny, — przeszedłszy szereg sal, zatrzymał się na werendzie.

Jenny przystąpiła ku niemu.

Księżycowe światło lampy elektrycznej, pod którą usiadł, padło na długie, konopia-sto-rudawe jego faworyty, na nos, wystający mocno nad czerwonymi wzdętymi wargami, na ściągłe policzki, na małe, blade-szare oczy, poruszające się szybko pod opadającymi ciągłym nerwowym ruchem powiekami.

Jenny odwróciła się ze wstrętem.

Twarz nieznanego obudziła w niej wrażenie ohydy. Otrząsała się przed nią, jak przed widokiem złej mary, która, raz pojawiwszy się na oczach, nieprędko z nich zejdzie.

Upadła ciężko na krzesło, stojące tuż przy balustradzie werendy i zawołała:

— Ojcie, odpocznijmy trochę!

Była bardzo, bardzo zmęczona. Czuła nagły ubytek sił, szum w głowie i mroczki przed oczami.

Dokoła niej rozlegał się szmer rozmowy, brzęk noży, widelców i szklanek, którymi współbiednicy trącali się wzajemnie. Twarze ludzi, których miała przed sobą i hałas, jak na targowisku jarmarcznem, drażnił, niecierpliwił, nudził i męczył ją do najwyższego stopnia.

Opanowała ją niechęć i pogarda życia w tej chwili. Byłaby chciała, zamknawszy oczy, stoczyć się nieznacznie w nurty wody, która nęciła ją niezmierną głębią i atlasowym połyskiem.

Mister Price drzemał nad butelką porteru, czekając na porcję rostbefu, który zamówił dla siebie. Jenny nie chciała nic jeść. Co raz bardziej niecierpliwiły ją śmiechy podochoconych Niemców. Podniosła się, mając zamiar przejść do jednej z bocznych sal restauracji, gdzie było spokojnie. Zaledwie jednak postąpiła parę kroków, padła na krzesło napowrót, zmęczona, bezsilna, wyczerpana. Łzy cisnęły się jej do oczów: musiała je powstrzymać, gdyż rozweseleni hamburczycy spoglądali na nią ze wszystkich stron.

Usłużny kelner, widząc, iż siedzi smutna i sama obok drzemającego ojca, podał jej ostatni numer „Hamburger Nachrichten”.

Przerzucając karty gazety, Jenny bezmyślnym wzrokiem zaczęła wodzić po nich. Naraz oczy jej zatrzymały się na pierwszej szpalcie drugiej strony. Krzyknęła głośno, ostro, przeraźliwie. Dziennik wypadł z jej palców. Skoczyła na krzesło, ztamtąd na stół i, pochyliwszy się naprzód połową korpusu, wyciągnawszy ręce przed siebie, rzuciła się w wodę.

Mister Price wstał, zbudzony krzykiem. Przecierając oczy, spoglądał na twarze gości,

giej strony, stale się rozwija i kiedy w 1885 r. było poszukujących pracy 92, z czego umieszczono 28, to w roku sprawozdawczym z 204 szukających pracy umieszczono 81. Bardzo pomocnym mógłby się tu okazać wydział krzewienia wiadomości handlowych, który, niestety, oprócz opiekowania się biblioteką, wynoszącą 430 dzieł, nic nie zrobił. Jakby dla ironii świetnie się rozwija umiejętnie sterowany wydział zebrań towarzyskich.

Wydział ten jest „opodatkowany” na rzecz wdów i sierot a fundusz na ten cel przelany do kasy zarządu reprezentuje pokaźną sumę 588 rs. 69 kop. za rok ubiegły. Wydział zapomóg bardzo poważnie się przedstawia, udzielono bowiem wsparć jednorazowych 33 na sumę rs. 807 k. 45; pięć peryjodycznych (miesięcznych), czterem wdowom i jednemu członkowi na sumę rs. 420; — cztery zapomogi, tytułem zwrotu kosztów leczenia na sumę 41—05; na pogrzeby sześć razy razem rs. 165; aptekom, lekarzom i szpitalom rs. 1,050—69½ = 2,484 k. 19½. Do wydziału pożyczek wpłynęło podań 76 o pożyczanie 3,413 rs., przyznano 60 członkom 2,632 rs., pozostało zatem bez uwzględnienia 16 podań na sumę 781 rs.

Na ostatnim ogólnym zebraniu, oprócz zwykłych w takich razach czynności, poruszono wiele wniosków, z których dwa dużego znaczenia: wniosek powszechnego u nas świętowania niedzieli drugi—o założenie kasy przeznaczonej i pomocy dla Towarzystwa subiektyw. Pierwszy wniosek o ile jest sympatycznym, o tyle trudnym do przeprowadzenia. Pomijając, że pierwotny wniosek miał na względzie tylko kantory a więc ludzi względnie najlżej pracujących a najlepiej uposażonych, pomijając i to, że sklepy są zamykane nie tylko w niedziele i święta katolickie, ale również w święta kościoła prawosławnego i dni galowe—to jeszcze kwestyja ta będzie ciężką do rozwiązania z racji swej treści o szerokiemu znaczeniu społeczno-ekonomicznym, które sięga głęboko. Przeprowadzenie tego wniosku, na razie przynajmniej, naraziłoby na straty masy najciężiej pracujących ludzi, t. j. rzemieślników i robotników w fabrykach, oraz włóścian, pracujących ciężko cały tydzień przy gospodarstwie, a tylko w niedzielę załatwiających swoje potrzeby, jakimi są zapatrywanie się w odzież, artykuły spożywcze i inne przedmioty codziennych potrzeb.

Za to drugi projekt, również sympatyczny, po uzyskaniu sankcyi prawnej łatwo prawdopodobnie wejdzie w wykonanie, bo tylko brak dobrej woli ze strony pp. kupców mógłby sta-

nać na zawadzie, a tej ewentualności przypuszczać nawet nie należy.

Na zakończenie dodam, że pierwszym prezesem Towarzystwa był p. Skorupski, człowiek dbały o interesy Towarzystwa, ale zbyt słabych sił na tem stanowisku. Drugim p. Dubowik, człowiek inteligentny, wielkiego taktu i charakteru, lecz dla słabości zdrowia zrzekł się mandatu. Po nim nastąpił pan Grosse, który prędkim ustąpieniem dużą wyświadczył Towarzystwu usługę. Uproszony ponownie p. D. dotąd umiejętną dłoń kieruje sterem wielkiej łodzi, o tak licznej a pstrej załodze. Na ostatnim zebraniu okazało się, że p. G. jest dzielnym krytykiem, a ztąd taka dla nas płynie nauka, żeśmy się starać powinni, aby na tem stanowisku pozostał na zawsze.

Bielecki.

W mętnej wodzie.

Od czasu wydania postanowienia o wprowadzeniu na wszystkich drogach żelaznych kas emerytalnych lub oszczędnościowo-zapomogowych, według typu normalnego, i likwidacyi kas dawnych—na kolejach tutejszych zaszło bardzo wiele zmian w organizacyi kas emerytalnych.

Pomijając na teraz inne koleje, zajrzyjmy do kasy zjednoczenia kolei warszawsko-terespolskiej, gdyż dzieją się tam rzeczy, zakłcające spokój ducha ogółu uczestników.

Sledząc bacznie kierunek administracyi jawnej i zakulisowej na kolei warszawsko-terespolskiej w sprawach kasy, od czasu ogłoszenia wspomnianego ukazu, t. j. od maja 1888 roku, doszliśmy do przekonania, że chodzi tam o to, aby nie czekając wprowadzenia w życie kasy normalnej, zamknąć kasę obecnie istniejącą a to w celu pozbycia się zobowiązań jej względem emerytów.

Aby tego dopiąć, wydają tam różne rozporządzenia jawne i sekretne, które również wychodzą na światło dzienne w formie okólników i t. d.

W 1889 r. kilku urzędników rady zarządzającej teje kolei wystąpiło do ministerjum, wrzekomo w imieniu ogółu uczestników, z wnioskiem o natychmiastowe zamknięcie kasy emerytalnej, byle nie dopuścić do zwiększenia się liczby emerytów, mogących nadwyżyć i tak już zagrożone fundusze kasy zjednoczenia.

Wniosek ten, wskutek protestu uczestników, niesolidaryzujących się z owym zamachem na kasę, spełził na niczem.

Przy końcu r. z. znów rada zarządzająca zdecydowała, aby od 1-go stycznia r. b. zmniejszyć o 25% pensyje emerytalne już przyznane, pobierane i w przyszłości przyznawane.

Lecz i ten projekt do skutku nie doszedł, wskutek protestu emerytów, którzy zagrozili, że będą bronić praw swoich na drodze sądowej.

Burza więc na razie zażegnana została. Jest jednak faktem niczem nie zbitym, że stan funduszu kasy był bardzo zły i bez pomocy Towarzystwa, a w myśl § 36 ustawy, Kasa nie będzie mogła sprostać wszystkim zwiększającym się ciągle zobowiązaniom.

Na zagrożony stan interesów kasy zwrócono już uwagę w 1885 r. i wtedy to podwyższono składki obowiązkowe od pobieranych pensyj z 4% na 8%.

Otóż w b. m. zarząd kasy wydał rozporządzenie, aby zaczynając od kwietnia r. b., wrócić do pierwotnej skali składek bieżących od pensyi, t. j. do 4%, zamiast dotychczas pobieranych 8%.

Smutna ironia!... Stan funduszu jest zły, 7 lat temu podwyższono składki, aby zasilić te fundusze, niedawno wskutek tych samych przyczyn chciano zmniejszyć emerytom pensyje ciężko zapracowane,—był to środek ostateczny, przewidziany w § 35 ustawy i zalecany tylko w położeniu rozpaczliwym, a teraz, jak gdyby fundusze kasy, za dotknięciem laski czarodziejkiej, nagle poprawiły się znakomicie, chcą wrócić do tak małych składek, jakie stosowane były za najlepszych czasów.

Skutki też gospodarki mogą tylko być takie, że kasa w przyspieszonym tempie dążyć będzie do bankructwa i kryzys nastąpi przed 1 października r. b., t. j. terminem, w którym przypada 24-lecie istnienia kasy; wielu uczestników nabywa prawa do ¾ emerytury.

Bezwzględnie po ogłoszeniu rozporządzenia o zmniejszeniu składek z 8% na 4%, kilkuset uczestników założyło protest przeciwko tej uchwale, która nie tylko że jest absurdem, lecz w dodatku jest nielegalną i wprost przeciwną § 35 ustawy, w którym wyraźnie powiedziano: „Przywrócenie składek miesięcznych do normalnej wysokości (4%), nastąpi wówczas dopiero, gdy fundusze kasy zjednoczenia okażą się dostatecznymi na pokrycie wszystkich przyznanych pensyj”.

Otóż fundusze te, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie wystarczą na pokrycie

między którymi zapanował popłoch, i nie mógł pojąć, co się stało.

O kilka kroków od niego woda podrzucała giętkie ciało Jenny, wzdymając białą jej suknię, która, jak koło ratunkowe, utrzymywała ją czas jakiś na powierzchni.

Nim mister Price zdołał ogarnąć obraz ten wzrokiem, wysoki angił z konopiasto-rudawymi faworytami, siedzący pod bekiem lampy elektrycznej, zerwał się z krzesła, podbiegł do pomostu i odczepiwszy przymocowaną do niego łańcuchem łódkę, wskoczył w nią i kilkoma pociągnięciami wiosła pchnął naprzód, ku szamoczącemu się w nurtach wody ciału.

W kilka chwil później Jenny została przeniesioną do jednej z bocznych sal restauracyi, gdzie zwolna, stopniowo zaczęła odzyskiwać przytomność.

Dwa dni była bardzo osłabiona; spała ciągle; obudzwszy się, nie mówiła nic do nikogo. Trzeciego dnia wieczorem wezwała do siebie ojca. Gdy przyszedł, prosiła, by kazał przynieść jej wieczorny numer „Hamburger Nachrichten” z dnia tego, którego przyjechali do Hamburga.

Ojciec tłumaczył jej, iż zbyt jest osłabioną, aby mogła czytać: ona wówczas dostała nerwowego płaczu.

Lekarz wezwany zalecał spokój, unikanie

silniejszych wrażeń i nie stawianie chorej w niczem oporu.

Bojąc się pogorszenia, mister Price posłał po żądany numer, chęć przejrzenia którego uważał za kaprys chorobliwy ze strony córki. Odwrócona twarzą do ściany, Jenny czytała:

„Onegdaj wieczorem w jednej z sal Paryzkiego hotelu usłyszano wystrzał. Służba, zbiegłszy się, zastała leżącego na środku pokoju, zbroszonego krwią młodego człowieka, którego ciało podrzucały ostatnie konwulsyjne drgawki. Młody człowiek skonał w kilka chwil potem. Imię jego i nazwisko Emil Wiessner podane było w książce hotelowej dokładnie, jak to stwierdziły znalezione przy nieboszczyku papiery. Pochodzi on z Coennern, małego miasteczka pod Hallą, o dwie godziny drogi od Lipska. Zdaje się, iż ostatnimi czasy przebywał w Monachijum.

Powód samobójstwa niewiadomy. Śledztwo, po zniesieniu się z rodziną zmarłego oraz z policyją i władzą miejską w Coennern, zostanie przeprowadzone”.

Jenny czytała bez końca. Zatrzymując się na niektórych wyrazach, powtarzała je to półgłosem, to szeptem. Przymrużywszy oczy, czuła, jak litery skaczą przed jej wzrokiem—w porządku czarnych czcionek, odbitych na szorstkim, brudno-żółtym papierze.

Znała każdą z nich oddzielnie dobrze. Zestawione razem, tak jakoś dziwnie brzmiały w uszach, że zdawało się jej, iż nie rozumie ich wcale...

Zmieniła gazetę i rzuciła ją na ziemię.

Gdy w tydzień później ojciec rzekł do niej: — Jenny, możebyśmy już wyjechali ztąd do domu? — kiwnęła głową na znak, że dobrze.

Ilekoć podczas podróży mister Price pytał ją:

— Może potrzebujesz czego?—odpowiadała odrzuceniem głowy w bok:

— Nie.

Niczego nie potrzebowała, nic nie pragnęła. Chciała tylko milczeć: nie mogła, nie umiała mówić. Słowa tak dziwnie brzmiały w jej uszach!... Ten sam dźwięk miały, co dawniej, a jednak, powtórzone, wydawały się tylko pustymi, niedołącznymi, głupimi zgłoskami bez znaczenia...

Kuzyunki Jenny rozgłosiły, iż zbyt silne kąpiele morskie przyprawiły ją o ciężką chorobę nerwową, grożącą melancholiją lub—może—czemś gorszem jeszcze.

Po powrocie z półrocznej podróży Jenny zamknęła się w domu, nie chcąc widzieć nikogo.

Dnie przechodziły jej na pracy: czytała, rysowała.

wszystkich zobowiązań względem uczestników po owym terminie 1-go października r. b. i dla tego to właśnie zaprojektowano zmniejszenie składek, aby ruina kasy nastąpiła przed tym terminem a tem samem, aby nie zaszła potrzeba zastosowania § 36 Ustawy, w którym mowa jest o pokrywaniu niedoborów kasy z funduszu Towarzystwa kolei warszawsko-terespolskiej.

Paragraf 36 Ustawy drażni Towarzystwo i z racji tej ustawicznie powstają różne projekty, skierowane ku zagładzie kasy zjednoczenia.

Zarząd kasy emerytalnej składa się z 3-ch członków stałych, zasiadających z urzędu i 4-ch członków z wyboru, z pomiędzy uczestników w służbie zostających.

Kto więc dał inicjatywę owego projektu zmniejszenia składek—niewiadomo, głos jednak ogółu uczestników wskazuje naczelnika kontroli dochodów p. Weycherta, który jest z urzędu stałym członkiem zarządu kasy.

Czy protest ogółu uczestników odniesie pożądaną skuteczną przysięgę w tej chwili nie można, dotychczas zaś wiemy, że z pensji za kwiecień r. b. mają stracić całej służbie kolei terespolskiej na rzecz kasy emerytalnej tylko 4%.

Ci.

Przemysł domowy w Niemczech.

I.

Ostatnimi czasy kilkakrotnie podnoszono w Niemczech kwestyję oplakanego położenia tkaczy „domowych” (czyli *kustarnych*, jakby powiedziano w Rosji). Rzecz godna uwagi jednakże, że nikt nie potrafił dotąd wskazać żadnego praktycznego sposobu ulżenia ich losowi. Okazuje się, że warunki ich życia i pracy mało są znane, że przedewszystkiem należałoby przedsięwziąć specjalne badania, zorganizować wielką ankietę i t. p. A jednak, w ciągu ostatnich lat 12 ukazało się sporo prac, poświęconych przemysłowi domowemu, sam *Verein für Socialpolitik* wydał 4 tomy badań w tej kwestyi, wreszcie statystyka rządowa, izby handlowe, oraz inspektorowie fabryczni w sprawozdaniach swych dotyczyli nieraz tego przedmiotu. To też nie bez racji utrzymuje prof. Sombart, z którego artykułem zaznajomić chcemy czytelników, że właściwie

nie tyle brak materiału faktycznego, ile jego ujęcia, zrozumienia i objaśnienia. Szczegółów, powiada on, mamy już sporo, nie umiemy z nich jednak wyciągnąć rysów charakterystycznych tej gałęzi przemysłu, nie umiemy znaleźć nici przewodniej w chaosie faktów.

Przedewszystkiem, czym jest właściwie przemysł domowy? Zdaniem Sombarta, niema dotąd w literaturze zadawalniającej odpowiedzi na to pytanie. Dawniejsi badacze, z Roscherem na czele, uważali przemysł domowy jako odmianę rzemiosła. Charakterystycznymi cechami jego miały być prace na eksport (nie na obstalunek), odbyty hurtowy, wreszcie łączność z rolnictwem. Tę ostatnią okoliczność uważano za tak ważną, iż nieraz nawet określano przemysł domowy, jako zajęcie dodatkowe drobnych rolników. Jeszcze w roku 1869 powtarzał toż same określenia Schmoller, który upatrywał wówczas w przemysle domowym organizację nader szczęśliwą, ponieważ tworzy ona niezależny stan rzemieślniczy, pracujący dla rynku wszechświatowego i sprowadza do minimum niebezpieczeństwo powstawania proletaryjatu. Błędne te teoryje błakają się dotąd w uczonych rozprawach i stanowią największą przeszkodę dla dokładnego zrozumienia istoty rzeczy.

Odmienne zapatrywanie na przemysł domowy wygłosił po raz pierwszy Karol Marx w „Kapitale” (r. 1867). Według niego jest to tylko jedna z form nowożytnego wielokapitalistycznego systemu produkcji. W dwa lata później podobnie zapatrywania wygłosił dr. Schwarz. Na razie jednak nowe te poglądy nie zwróciły uwagi badaczy. Kwestyja przemysłu domowego nie budziła podówczas żywszego interesu. Fabryka i jej stosunki pochłaniały wówczas uwagę powszechną. Kwestyję podjęto dopiero po 10 latach i od tego czasu dopiero sprawa przemysłu domowego zaczyna się rozjaśniać.

Badania Schmollera i jego uczniów nad rozwojem form przedsiębiorstw przemysłowych wyjaśniły, że przemysł domowy był pierwszą formą wielkiej produkcji nowożytnej, że za jego to pomocą rozbito więzy ustroju rzemieślniczego, że on to poprzedził, przygotował drogę i umożliwił powstanie rękodzielni i fabryk. W okresie od 15—18 wieku ówczesni kapitaliści, kupcy—organizują, zakładają niejako ten przemysł. Dzięki im drobne zajęcia dodatkowe przeobrażają się w gałęzie przemysłu, dzięki im obok rzemieślników zjawia się nowa warstwa przemysłowa, złożona z ludzi niepo-

siadających, pracujących we własnych domach na rzecz „nakładcy”. Powstawanie przemysłu domowego po wsiach zależało głównie od tego, że tam właśnie, po za obrębem władz cechowych powstawać mogła najłatwiej nowa organizacja przemysłowa, że tam wreszcie przedewszystkiem do roboty zaprządz było można kobiety i dzieci.

Łączność przemysłu domowego z rzemiosłem i rolnictwem jest, zdaniem Sombarta, rzeczą przypadkową i drugorzędą. Właściwie, okazał się on zarówno zgubnym tak dla jednego, jak i dla drugiego. Rzecz można, że rolnik oddaje się obecnie pracy przemysłowej jako dodatkowemu przy rolnictwie zajęciu, tam tylko, gdzie przemysł „domowy” nie istnieje.

Zarówno badania historyczne, jak i opisy obecnego położenia pracujących w tego rodzaju przemyśle—wpłynęły znacznie na zmianę pojęcia „przemysłu domowego”. Dawne jednak teoryje przeskadzają dotąd uformowaniu jednolitego na tę kwestyję poglądu. Zdaniem Sombarta, przemysł domowy należałoby określić jako taką formę *prywatno-kapitalistycznego* przedsiębiorstwa, w której robotnicy pracują we własnych mieszkaniach. Czy robotnik dostarcza swemu nakładcy gotowe wyroby na obstalunek nabywając sam potrzebny materiał surowy, czy też przerabia on tylko materiał sobie przez nakładcę dostarczony—nie jest to rzeczą ważną. Różnica dwóch tych postaci (t. zw. *Kauf* i *Lohnsystem*) przemysłu domowego nie jest zasadniczą, co najwyżej może świadczyć o mniejszym lub większym stopniu zależności robotnika od pryncypała.

Przyjrzyjmy się teraz obecnemu położeniu tego przemysłu. Statystyka zawodowa z roku 1882 oznaczyła liczbę zajętych w tym przemyśle osób dwiema, otrzymanymi w rozmaity sposób, cyframi: 476,080 i 544,980. Sombart sądzi, że obydwie te cyfry są za małe, nie weszła do nich bowiem pewna ilość drobnych dzieci i starców, przyjmujących wszakże udział w wytwarzaniu. W każdym razie, nie ulega wątpliwości, że pracuje pół miliona ludzi. Głównymi siedliskami tego przemysłu jest obszar, ciągnący się od kotliny glatzkiej wzdłuż pogranicza czeskiego aż do gór Sosnowych i zachodnie kresy niemieckie: okręgi düsseldorfski, akwizgrańska, Lotaryngia, Alzacyja i okręg schwarzwaldski w Wirtembergu. Po za temi większemi przestrzeniami przemysł domowy odegrywa wybitną rolę w Berlinie i Bremenie. Jeżeli teraz zwrócimy się do zawodów, jakimi poświęcają się ci „przemysłowcy domowi”, to zobaczymy, że naj-

Czytała sto, dwieście razy z rzędu historję „Cierpień Werthera”.

Przedostatnią kartę, list młodego bohatera do ukochanej Lotty, wypisywała na kartkach swego albumu, na arkusikach papieru listowego, z których każdy chowała oddzielnie.

Umiała cały list na pamięć. Gdy zmierzch zapadał i gęsta mgła Londynu zasłaniała blask zapalonych latarni, Jenny mrużyła oczy i, siadając w fotelu z głową, w tył przewieszoną, mówiła sama do siebie półgłosem:

„Dokoła mnie cicho; cicha i spokojna dusza moja. Dziękuję ci, Boże, za ożywcze ciepło i krzepkość sił, jaką dajesz ciału mojemu w ostatniej chwili mego życia.

Podchodzę do okna, najdroższa ty moja! Patruję i dostrzegam z po za skłębionych, mknących szybko chmur, kilka gwiazd, mrugających na wiekuistej nieprzebytej przestrzeni nieba. I myślę: nie, wy nie spadniecie: Bóg przyciska was do łona swego tak, jak i mnie za chwilę przycisnie.

O, ukochana moja! Gwiazdy te przypominają mi ciebie: otaczasz mię sobą na każdym kroku. Jak dziecko, zbierałem dotąd drobiazgi, których ty dotykałaś świętą swoją ręką i gromadziłem je dokoła siebie, nienasycony nigdy.

Na cmentarzu, w rogu, tam, gdzie

graniczy z nim pole, stoją dwie lipy: pod nimi chciałbym spocząć.

Karolino, proś twego ojca, by ciało moje tam złożył”.

Mrok zapadał coraz większy. Jenny otwierała oczy i, nie mogąc dostrzedz przed sobą zarysów najbliższego przedmiotu, drżała z trwogi; dzwoniła następnie szybko na Helenę, starą piastunkę, która pielęgnowała ją od dziecka i którą lubiła mieć przy sobie wtedy nawet, gdy nie chciała widzieć nikogo.

Helena wchodziła z zapaloną lampą. Jenny rzucała się na szyję jej, płacząc. Po kilku chwilach, uspokojona, otwierała album, pełne wspomnień, w którym na kartkach białego papieru kilka miesięcy temu Emil, rozmawiając z nią, kreślił sylwetki przedmiotów, na które patrzył z pod płóciennych osłon namiotu nad brzegiem morza.

Nie rysując nigdy przedtem, próbowała odtwarzać drobne szkice, rzucone ręką Emila. Robota szła niedołącznie; linije wypadały krzywo, ukośnie. Nieraz, gdy po najmozolniejszej pracy, pokazując Helenie arkusz papieru z namazanymi na nim kilkoma konturami, które miały odtwarzać mewy w czasie lotu, lub kamienie grobli, barykadujących wyspę, pytała:

— Poznajesz, co to jest?—otrzymywała odpowiedź:

— Nie, a ktoby mógł poznać takie dziwa-

ctwa? Prędzej to podobne do jakichś szarych smoków, których niema na świecie całym, aniżeli do prawdziwego przedmiotu. Dałaby panienska pokój temu rysowaniu, a przeszłaby się lepiej ze mną po ogrodzie..

Oddawna już ojciec i Helena robili jej wymówki za to, że zamknięta w swoim pokoju, nie chciała z niego wychodzić. Nieraz, wydzierając jej gwałtem książkę lub ołówek z ręki, sprowadzali ją na dół, na taras ogrodu. Najczęściej jednak nie zdołali spostrzedz, gdy uciekała, zostawiając ich samych.

Najlepiej było jej między czterema ścianami swego pokoju. Czuła się wtedy spokojną, na nic nie narzekała. Większe przestrzenie napełniały ją strachem. Samo pojęcie dużego obszaru sprawiało jej zawrót głowy. Drżała na myśl, iż mogłaby zostać przez chwilę sama w jednej z szerokich i długich alei ogrodu.

Całą zimę przepędziła w domu. Z wiosną zaczęła wychodzić potrosze. Patrząc na drzewa, pełne pąków i kiełkującą zieloność trawników, witała życie wiosenne, jak coś nowego, coś, czego dotąd nie znała, a co budziło w niej dziwną tęsknotę. Płakała, słuchając świergotu wróbli, śpiewu słowików i skowronków. Im silniej świeciło słońce, im obficiej i bujniej rozwijała się przyroda, tym cięższy, uporczywszy smutek opanowywał jej umysł.

(d. c. n.)

liczniej reprezentowane są: 1) wyrób tkanin jedwabnych i aksamitu (53 tys. osób w cyfrach okrągłych), 2) tkactwo bawełniane (52 tys.), 3) szycie (49 tys.), 4) tkactwo lniane (41 tys.), 5) pończosznictwo (40 tys.), 6) krawiectwo (39 tys.), 7) tkactwo wełniane (24 tys.), 8) wyrób tkanin mieszanych (22 tysiące) i t. d.

Co się tyczy warunków życiowych pracujących w tym przemyśle, to wszystkie dane przedstawiają je, jako nader smutne. Wielka śmiertelność, zwłaszcza dzieci, znaczna ilość niezdolnych do służby wojskowej, ogólna słabość budowy ciała i przedwczesna starość — oto co mówią nam wszyscy sprawozdawcy o zdrowotności tej kategorii ludności. Pożywienie wszędzie niedostateczne, mieszkania ciasne, zatłoczone przyrzadami, materiałem surowym i szkodliwymi nieraz dla zdrowia odpadkami. W robocie biorą udział dzieci od najmłodszego nawet wieku; dzień zaś roboczy przechodzi 14 godzin, nawet 18—20 godzin nie jest rzadkością. Pomimo natężonej pracy całej rodziny zarobek jej jest wogóle niedostateczny. Dr. Ziegler przytacza ciekawe szczegóły o zarobkach tkaczy szląskich. Oto np. dwie rodziny, składające się z 7 osób. W jednej mąż pracuje 16—18 godzin dziennie, żona 6 (resztę czasu poświęca na gospodarstwo domowe), pomaga im 2 dzieci (9 — 14 lat). Ogólny zarobek tygodniowy wynosi 5 marek 22 fenigi. Po za komornem, opałem, światłem i podatkami na żywność i odzież dla całej rodziny pozostaje 3,15 marki na tydzień (91½ kop. zł.). W drugiej rodzinie, wyrabiającej jak i pierwsza barchany, mąż pracuje również 16—18 godzin dziennie, żona 9, pomaga 3 dzieci, zarobek tygodniowy wynosi 5½ marek, na żywność i odzież pozostaje z tego zaledwie 2,92 marki (niecałe 90 kop.).

(Dok. nast.)

J. Książyc.

Współzawodnictwo i współdziałanie.

IV.

Spencerowski system *laissez-faire*-yzmu, zapoznający główną zasadę życia społecznego, zasadę subordynacji, musi też w praktyce prowadzić do następstw opłakanych. Niczem nie skrepowane współzawodnictwo jednostek, będące zasadniczą cechą życia dzikiego, nie może, jakżeśmy widzieli, być podstawą społecznego życia. Z drugiej strony, skrepowanie tegoż współzawodnictwa względami na dobro innych — albo jest skojarzeniem dwóch pierwiastków sprzecznych, albo też poprowadzić musi do następstw, o jakich nie śniło się twórcy ewolucyjonizmu. Przypatrzmy się naprzód praktycznym wynikiem jednostkowego współzawodnictwa — krepowanego w teorii „poszanowaniem praw innych jednostek” — zaś w praktyce krepowanego jedynie brutalnymi następstwami staré wzajemnych.

Z pomiędzy rozmaitych przesądów, trapiących dzisiejszą ludzkość, do najszkodliwszych należy dość upowszechnione mniemanie, że nieograniczone współzawodnictwo jednostek jest podstawą rozwoju naszej indywidualności. Pogląd ten, będący skutkiem ciasnego pojmowania darwinowskiej teorii „Walki o byt”, stanowi właśnie przyczynę tego, iż współzawodniczy ustroj społeczny nie tylko nazwalimy ustrojem indywidualistycznym, ale, nadto, w nazwie owej skłonni jesteśmy widzieć coś więcej, niż się w niej zawiera. Jedynym prawowitem znaczeniem takiej nazwy jest tylko to, że jednostkę t. j. *individuum* pozostawia się tutaj, teoretycznie, własnemu przemysłowi, oraz że, również w teorii, pozostawiono jej wszelką wolność inicjatywy. Tymczasem, bardzo wielu sądzi, iż nazwa ustroju „indywidualistycznego” każe, nadto, domyślać się faktycznej samopomocy i faktycznej wolności inicjatywy; dalej, że pozwala ona przewidywać, iż dany ustroj nie tylko umożliwia, ale nawet wspiera i potęguje sprawę rozwoju naszej indywidualności; nakoniec, że rozwojowi temu jak najbardziej stawałby na przeszkodzie — wspierają-

cy się na podstawach społecznej subordynacji i koordynacji — ustroj współdziałczy¹⁾.

Przedewszystkiem więc słówko o t. zw. „zasadzie walki o byt”. Gdyby Darwin, którego naiwni nazywają niekiedy jej „wynalazcą”, pojmował ją był tak, jak ją rozumie czasem najbardziej tępy z jego adeptów, t. j. jako *bezpośrednie zapasy* dwu pożerających się wzajem osobników, wówczas twierdzenie, iż pomiędzy zasadą współdziałania, oraz zasadą „walki o byt” istnieje podstawowa sprzeczność, nie byłoby pozabawionem pozorów słuszności. Darwin, jednakże, przewidując, że, zarówno dwuznaczność samego terminu, jak i płytkość niektórych, studyjujących jego teorię, umysłów, mogłaby nadać użytemu przezeń słownictwu znaczenie zbyt ciasne, poświęcił sporo miejsca wykazaniu tego, iż 1) walka o byt bynajmniej nie zawsze oznacza zapasy pomiędzy istotami żyjącymi, lecz często oznacza li tylko pokonywanie ujemnych oddziaływań przyrody martwej; 2) zapasy pomiędzy żyjącymi istotami zgoła nie zawsze odbywają się w sposób bezpośredni: częstokroć strony walczące nie znają się wzajem i o sobie nie wiedzą; takim np. jest antagonizm pomiędzy ptakiem, tępiącym owady, oraz kwiatem, który przez owady owe bywa zapładniany. 3) Zarówno bezpośrednie, a bardziej jeszcze pośrednie, zapasy toczą się nie tylko pomiędzy osobnikami pojedynczymi, ale i ich gromadami.

Oprócz tych, wyraźnie i z naciskiem zaznaczanych przez Darwina objaśnień, wymieńmy tu jeszcze pewien posiłkowy wniosek, domyślnie wypływający z całej teorii ewolucyjnej: oto, sama walka o byt, podobnie jak i kształtowane przez nią organizmy, podlega prawu stopniowego rozwoju: formy jej, zrazu najprostsze, stają się coraz bardziej złożonemi; z najbardziej bezpośrednich przeobrażają się na taką, co zmierzają do celu pośrednio — tak w czasie, jak i w przestrzeni.

Coraz większa złożoność walki o byt jest pośrednim skutkiem działania jej samej: jest to następstwo coraz większej złożoności kształtowanych przez nią ustrojów. Łatwo zrozumieć, że walka organizmu, mającego liczniesze rodzaje oręża w swem rozporządzeniu — może być bardziej urozmaicona, niż walka ustroju, posiadającego jeden tylko oręż. Coraz większa pośredniość wyższych postaci walki o byt jest wynikiem działającej wszędzie zasady zdążania po linii najmniejszego oporu — zasady, która, po ukazaniu się i wejściu w grę czynnika *świadomości* — staje się zasadą działania w kierunku najmniejszych *wysiłków*. Dzięki tej właśnie zasadzie usiłujemy osiągnąć celu nie przez działanie bezpośrednie, ale wprowadzając pośrednie ogniwa, t. j. czynniki, usuwające potrzebę naszych własnych wysiłków: podważanie drągiem jest czynnością bardziej pośrednią, niż obalanie rękami; rozsadzanie prochem jest bardziej pośrednim, niż podważanie za pomocą drąga, zaś rozsadzanie dynamitem jest *ilościowo* jeszcze bardziej pośrednim.

Dziwić się coraz większej złożoności walki o byt znaczy to nie rozumieć zasadniczego charakteru jej własnego działania; znaczy to wymagać, aby walka organizmu o większej liczbie rodzajów broni była tak prostą, jak walka ustrojów najprostszych, aby przyczyna nie wywoływała swych skutków. Dziwić się coraz większej *pośredniości* walki o byt — znaczy to nie rozumieć, że zarówno w świecie zjawisk żywiołowych jak i w świecie takich zjawisk, gdzie jednym z czynników jest świadomość — działanie odbywa się zawsze po linii najmniejszego oporu, *respectively* po linii *wysiłków* najmniejszych.

Po tych uwagach możemy bardziej szczegółowo roztrząsnąć znaczenie trzeciego z przytoczonych wyżej zastrzeżeń samego Darwina co do walki o byt, oraz zając się niemniej szczegółowem roztrząśnięciem socjologicznych zastosowań wywołu, wypływającego z całej

¹⁾ Zdanie podobne wygłosił niedawno, między innymi, jeden z naszych filozofów, (odznaczający się głęboką erudycją i niemniej głębokim brakiem oryginalności oraz pojmowania rzeczy społecznych), krytykując rozgłosną powieść *Looking Backward*. Prywatna forma krytyki nie pozwoliła nam na publiczne wykazanie jej niedorzeczności.

teorii ewolucyjnej — wywołu, że walka o byt stawać się musi coraz bardziej złożoną i pośrednią.

Skoro zapasy wśród organizmów żyjących toczą się nie tylko pomiędzy pojedynczymi ustrojami, ale też pomiędzy gromadami ich, to zachodzi pytanie, czym się różni wzajemny stosunek członków danej gromady od stosunku ich do członków gromady wrogiej? Odpowiedź może tu być jedna tylko: walcząc z członkami gromady wrogiej, członkowie danej grupy nie tylko nie walczą, w tymże czasie, ze sobą, ale, przez sam już fakt wspólności pokonywanych wrogów, działają ze sobą *współ*. Taki wypadek, kiedy każdy poszczególny przedstawiciel gromady A walczy, na własną rękę ale w gronie innych, z jakimś poszczególnym członkiem grupy B, jest najprostszym owego współdziałania wyrazem: stoimy tu o jeden szczebel wyżej, niż w wypadku samodzielnej walki każdego osobnika, działającego poza gromadą. Zarówno stopień złożoności jak i pośredniości jest tutaj większy. Do liczby rozmaitych rodzajów oręża, do liczby czynników, zwycięstwo ułatwiających, przybywa świadomość wspólności celów, obrony i płynące ztąd uczucie większej pewności, większej odwagi: w walce przeto zjawiają się pierwiastki nowe — jakich nie spostrzegamy w zapasach pojedynczych ustrojów, walczących poza gromadą; ztąd też mówimy z całą słusznością, że ta postać walki o byt jest już bardziej złożoną. Z drugiej strony, stopień *pośredniości* wzmagają się tu również: każdy osobnik nie tylko bezpośrednio zwalcza przedstawicieli gromady wrogiej, ale zwalcza ich również za pośrednictwem swoich towarzyszy.

Od tego najniższego stopnia walki gromad przejść możemy do stopnia wyższego — kiedy gromada dana przeciwstawia się innej grupie, jako całość — już nie tylko ze względu na wspólność celów, nie tylko ze względu na mechaniczne skupienie się swoich członków, ale nadto, przeciwstawia się jej, jako odrębna całość, ze względu na wewnętrzne, nie-mechaniczne zespolenie swych członków, ze względu na stosunki ich, o tyle różniące się od stosunku prostego przylegania w przestrzeni, o ile różniczkowanie, oraz integracja różnią się od prostego trwania obok siebie jednostek luźnych, o ile koordynacja i subordynacja różnią się od zupełnej autonomii osobników, o ile ustroj różni się od prostego aglomeratu komórek. Nie potrzeba wskazywać, że zarówno stopień złożoności podobnej walki, jak i stopień jej pośredniości staje się tutaj większym. Natomiast, należy zwrócić uwagę naprzód na tę okoliczność, że podobne komplikacje mogą się ukazywać i ukazują się nie tylko wtedy, gdy walka o byt toczy się pomiędzy dwiema gromadami ustrojów żywych, ale i wówczas, gdy grupa jakaś walczy o byt z otoczeniem przyrody martwej. Powtóre, zauważyć należy, iż świadomość wspólności celów, płynące ztąd uczucie większej pewności, ukazując się tylko sporadycznie, w wypadkach większego natężenia walki, stają się z biegiem czasu chronicznymi, a w ten sposób współdziałanie, będące zrazu tylko sporadycznym objawem bardziej złożonej walki o byt, staje się jej cechą stałą. Większa złożoność i pośredniość takiego stanu rzeczy jest faktem oczywistym. W każdym poszczególnym wypadku bardziej zaognionej walki o byt wchodzi w grę już nie tylko czynniki powołane przez ten wypadek, ale i inne czynniki, powoływane do życia dawniej — li tylko w przewidywaniu potrzeby gorętszej; czynniki, wylęgle już nie na łonie jednorodzajowego odczucia niezbędności współdziałania, ale i takie, co wypłynęły ze stałej świadomości potrzeby działania wspólnego.

Oczywiście przeto, wyrazem coraz wyższych stopni rozwoju walki o byt, coraz większej złożoności jej i pośredniości — zarówno w odniesieniu do przyrody martwej jak i w stosunku do walczących ze sobą gromad — będzie coraz częstsze zlewianie się grup mniejszych w większe, coraz znaczniejszy stopień integracji i różniczkowania wewnątrz grup pochodnych; ale coraz częstsze zlewianie się gromad poszczególnych każe przypuszczać w nich coraz znaczniejszą *ilościowo* domieszkę *współdziałania*, jako czynnika walki, zaś coraz większe różniczkowanie, oraz integracja grup pochodnych pozwala się domyślać coraz większej w nich *jakościowo* dozy współdziałania — coraz zna-

czniejszej koordynacji i subordynacji pierwiastków niegdyś luźnych.

Najwyższą więc postać walki o byt wyobrazić sobie możemy nie inaczej, jak tylko w terminach następujących. Po pierwsze, pod względem ilościowym muszą to być zapasy wszystkich osobników danego gatunku—np. ludzi—o ile zaś można, zapasy osobników możliwie największej liczby gatunków—np. ludzi i zwierząt domowych—zespolonych w jedną gromadę, zapasy skierowane wyłącznie przeciwko wrogowi owej olbrzymiej gromady otoczeniu. Dalej, pod względem jakościowym zapasy te wyróżniać się mają doskonałym zróżnicowaniem grupy, oraz doskonałą jej integracją. W ten sposób zarówno ilościowy jako też jakościowy, wpływ współdziałania musi walkę taką cechować w stopniu największym. Mówiąc językiem socjologii, największy być musi w takiej gromadzie zakres koordynacji i subordynacji jednostek.

Rozbiór trzeciego z przytoczonych wyżej zastrzeżeń Darwina—(walka toczy się nie tylko pomiędzy osobnikami, lecz i gromadami) i roztrząsanie wywodu, płynącego z całej teorii ewolucyjnej (walka o byt musi przybierać postacie coraz wyższe) doprowadziły nas tedy do takich samych wniosków, do jakich doszliśmy przy apiorystycznym rozbiórce zasady *laissez-faire* yzmu: życie społeczne w przeciwstawieniu do dzikiego życia—cechuje się coraz większą koordynacją i subordynacją jednostek.

Ale osoby, nie jasno zdające sobie sprawę z tego, że postacie walki o byt stawać się muszą coraz wyższymi, że rozwój ich stanowi właściwie o rozwoju form życia społecznego w ogólności, osoby zdolne do ujęcia jedynie najprostszego szematu walki o byt, szematu zapasów bezpośrednich pomiędzy jednostkami, uczują tu pewne niezadowolenie: w obawie o postępy ludzkości, zapytywać nas one będą; co się stanie ze sprawą doskonalenia się ludzkiego rodzaju, gdy walka jednostek ustanie? Jaką rolę odegra wówczas jednostka? Odpowiemy na to, że skoro wszystkie jednostki danego gatunku zespolić się muszą w grupę jedną, skoro wewnętrznym regulaminem tej grupy nie może być współzawodnictwo jednostek, lecz tylko ich współdziałanie, tedy jednostkowa walka o byt wewnątrz gromady owej będzie mogła przybrać jedną tylko postać jedną—postać *współlubieganą się we współdziałaniu*. Najwyższą złożoność i najwyższą pośredniość takiego stanu rzeczy jest faktem zbyt oczywistym, aby się potrzeba było nad nim rozwodzić.

Ciągle zaznaczanie przez Spencera konsolidującego wpływu wojowniczości, która miała popychać grupy mniejsze do łączenia się w większe, a natomiast ciągle pomijanie przez niego, a przynajmniej uwzględnienie zbyt słabe tego faktu, że wpływ „indystryjalizmu” jest i musi być, również konsolidującym, że musi on do stopnia znacznie nawet wyższego doprowadzić sprawę konsolidacji społeczeństw—było właśnie następstwem nie dość szerokiego pojmowania walki o byt—było skutkiem domyślnego jej ograniczenia li tylko do zapasów gromad pomiędzy sobą, oraz pominięciem walki tychże gromad z otoczeniem martwym, pominięciem tego faktu, że często nawet walka samych gromad bywała skutkiem walki z otoczeniem martwym. Dalej, ciągle przez tego pisarza wskazywanie, że t. zw. przez niego „koperacja przymusowa”, będąca wyrazem coraz większej koordynacji i subordynacji jednostek, stanowić ma znamienne cechy wojowniczości, podczas gdy charakterystycznym rysem „indystryjalizmu” będzie coraz większa niezależność działań jednostek od działań całości—było li tylko samowolnem i nieuzasadnionem napomknięciem, że koordynacja i subordynacja, stanowiące najdzielniejszy oręż walki o byt, toczącej się między gromadami, przestaną być takim orężem w walce gromad z ich otoczeniem martwym. Zobaczmy też rychło, o ile życie społeczeństw cywilizowanych zadaje kłam podobnym twierdzeniom, zasadniczo sprzecznym z wymaganiami tegoż życia; zobaczmy, o ile udział jednostki staje się nieznośnym wskutek pominięcia owych wymagań, o ile rozwój indywidualności spaczony jest i skrepowany, dzięki temu, że w warunkach życia społecznego kazano mu chwilowo rzucić się prawami dzikiego życia, że, zachowując

wolne pole działania dla instynktów i żądz, przyniesionych ze stanu dzikości, nie dano tam wolnego pola instynktom i żądom, wyrabiającym się pod wpływem stanu uspołecznienia.

J. K. Potocki.

Nauczyciel i nauczycielka

Pod tym tytułem w czasopiśmie „Żenskoje Obrazowanie” znajdujemy artykuł przez redaktora W. Sipowskiego podpisany, który podajemy w streszczeniu: Kogo nazywamy nauczycielem? Zapatrując się na to pytanie z idealnego punktu widzenia, należy odpowiedzieć: nauczyciel—to człowiek, który poświęca swą pracę jednej z najwznioślejszych i najświętszych spraw—rozwijaniu duchowych sił młodego pokolenia, wskazywanie mu dróg do prawdy, rozbudzania w nim pragnienia wiedzy.

Biorąc jednak rzeczy realnie i opierając się na obserwacji stwierdzić można, że nauczycielstwo z małymi wyjątkami przedstawia dwa typy: nauczyciel jestto albo urzędnik, mniej lub więcej sumiennie wypełniający swe obowiązki, albo aferzysta, który pracuje tylko dla korzyści materialnych; przyczem i jeden i drugi stawiają sobie za cel nauczenie swych uczniów pewnej sumy wiadomości, objętych programem danej klasy i danego przedmiotu i po to tylko, aby ci uczniowie otrzymać mogli patent, promocyję i wogóle uzyskać prawa, zapewniające pozycję w świecie.

Prawa są na pierwszym planie. O nie przedewszystkiem chodzi rodzicom, o nich myśli młodzież szkolna, prawa na pierwszym planie stawia przełożony szkoły—jest to oś, około której obraca się cała nauka szkolna. Jako naturalna konsekwencja przystosowania nauki do celu tego—udzielenia praw, okazuje się konieczność programu, ścisłej instrukcji, podręcznika. Nauka staje się więc martwą, wykrojona wedle pewnych reguł, formułek.

Przy takim systemie wychowania—to maszyny gorzej lub lepiej nakręcone, ale nie istoty żywe, myślące i rozumujące, nauczyciele zaś—to prości robotnicy, wypełniający zadaną im robotę. Robotą taką jest zresztą najwygodniejszą dla nauczycieli mało rozwiniętych, a bardziej jeszcze dla nieprzygotowanych do swego zawodu, a do tych musimy zaliczyć większość wykładowców. Bo oto młody człowiek, który tylko co ukończył uniwersytet, otrzymuje posadę nauczyciela w szkole.

W uniwersytecie od nikogo nie słyszał, że nauczanie nie jest rzeczą łatwą, że to sztuka trudna i doniosła, nad którą długie lata pracowali poważni myśliciele, że natura dziecka ma swe prawa i że nauczanie powinno się do natury tej przystosować.

O metodach pedagogii, młody nauczyciel nie miał sposobności znikąd się dowiedzieć. W jakim więc sposób przygotowuje się on do wykładowstwa w szkole? Oto, bierze podręcznik, dowiaduje się, ile w danej klasie przejść należy i rzecz załatwiona: należy zadać lekcję z podręcznika, wytłumaczyć pewne trudne wyrazy, wykreślić jeszcze trudniejsze, przesłuchać uczniów, dać stopień, a w końcu przygotować do egzaminu—rezultaty na egzaminie są właściwym szyldem i probierzem dla nauczyciela i uczniów. W tych okolicznościach oczywiście praca nauczycielowi wydaje się prostą i łatwą. Gdy przygląda się on swym kolegom, starym pedagogom, to widzi, że i oni również zapatrują się na swą pracę jako na bardzo łatwą, nawet nie lubią rozmawiać o swych zajęciach w szkole, chyba gdy się zdarzy jakiś komiczny wypadek w klasie, albo gdy im malcy bardzo dokuczają; prędzej zresztą poznaje on kolegę jako partnera przy zielonym stoliku, lub przyjemnego towarzysza przy piwie, ale nigdzie nie ma sposobności zapoznać się z jego poglądami pedagogicznymi. Zapyta nas ktoś może: wszakże w każdej szkole odbywają się konferencje pedagogiczne.

Prawda, ale konferencje te przeznaczone są li tylko do oceny, którzy uczniowie lub uczennice otrzymać mają promocyję i nagrody, o jakimś porozumieniu się co do sposobu wykładu, metody nauczania, jednolitości w prowadzeniu przedmiotów w szkole, niema mowy zgola.

Konferencje więc te zajmują tylko czas, a nie przedstawiają żadnego ogólniejszego interesu. Tym sposobem nauczyciel zobojętni się dla uczniów i dla szkoły, chodzi akuratnie na lekcje, przygotowuje uczniów do egzaminu—oto wszystko, czego od niego żądają i co wypełnia.

Nauczycielka przedstawia typ nieco odmienny. Jeżeli czytelnik obecny był kiedy na lekcjach nauczycielek, to musiał zauważyć cechy, dodatnio wyróżniające od nauczycieli: z jednej strony przejęcie się swemi obowiązkami, gorliwość, zapał, z drugiej zaś prawdziwa życzliwość dla swych wychowanców—dwie bardzo ważne zalety w działalności pedagogicznej. Suchy formalizm i chłodna urzędowość, spotykane zazwyczaj u nauczycieli obce są naturze kobiecej. Przyjemnie jest słuchać, z jak wielkim zapałem mówią one o swej szkole, swych uczennicach, jakimi ideami są przejęte. Tacy pracownicy wiele zrobić mogą, bo w nich jest wielka siła pedagogiczna, żywe uczucie, które przejmuje całą ich pracę i dlatego ta praca jest szczerą, a pracownik nie rzemieślnikiem lecz artystą. Nauczycielka szkoły ludowej wobec warunków materialnych, w jakich żyć musi, jest często prawdziwą bohaterką. Z czasem też, gdy kobiety otrzymywać będą wykształcenie wyższe narówni z mężczyznami, nauczycielki zastąpią mężczyzn we wszystkich klasach w szkole żeńskiej i w niższych klasach szkoły męskiej.

BEZ OBLUDY.

Filipowie z Konopi.—Nieudana podróż do Ameryki.—
Rozmaite rodzaje spokojnej pracy.

Wielokrotnie już (albo: niejednokrotnie już) społeczeństwo nasze bywało przedmiotem oszczerstw ze strony niektórych pism miejscowych. Nie wiem, czy inne języki posiadają przysłowia, odpowiadające naszemu o „Filipie z Konopi”, przypuszczam jednak, że Filip z Konopi jest wynalazkiem czysto polskim, oraz że nigdzie ten typ nie poławia się w takiej, jak u nas, obfitości. Znaną jest powszechnie anegdota o pewnym obywatelu, który, mając zamiar przejechać się do Ameryki, ogłosił w pismach, że poszukuje towarzysza podróży. W nocy, o godzinie może 2-ej, gwałtowne dzwonięcie budzi go ze snu; zrywa się i co prędzej otwiera: We drzwiach stoi jakiś przyzwyczajony Filip.

— To pan dobrodzieju jedzie do Ameryki?

— Tak.

— I pan dobrodzieju poszukuje towarzysza podróży?

— Tak, ale dla czegoż w nocy...

— Właśnie, ja przyszedłem oznajmić, że do Ameryki nie jadam...

Rozgniewany obywatel zatrzasnął mu drzwi przed nosem, ale co się nazłościł, to nazłościł.

Nasi Filipowie dziennikarscy od czasu do czasu uczuwają potrzebę obudzenia drzemającej rzeszy swych czytelników, oraz powiedzenia jej, że właśnie oni, Filipowie, do Ameryki jechać nie myślą.

To uznawanie za swoje li tylko wypadków łączących się w jakikolwiek sposób z koteryją wyrządza społeczeństwu wielkie szkody. Dzięki temu milczy się u nas o czynach i zjawiskach dodatnich „z poza sfery”, albo o ujemnych postępkach „ludzi własnych”, zaś jeszcze częściej rozdyma się cnoty i zasługi tychże własnych ludzi. Dzięki temu np. p. Lewicki przez długi czas mógł bezkarnie „nadużywać zaufania” w Muzeum pszczelniczym; p. Kossowski—„postępować nieogłędnie” w Muzeum przemysłowem; p. Leo dostać się na członka zarządu w Towarzystwie kredytowem miejskiem, pan Kozłowski urosnąć na pierwszego dramaturga, a p. Kosiakiewicz na pierwszego noweliste; dzięki temu małpa z faworytami mogła być przez lat kilka kierowniczką naszej opinii publicznej i chylić do stóp *Kuryjerowych* dumne karki, dzięki temu właśnie artystki „narażone” długo, długo rzucać muszą perły swego talentu przed dziennikarskimi wieprzami, aż wreszcie bałamucona opinia sama pozna się na nich i oceni zasługę; dzięki temu z artystek innych robi się fe-

tyszków narodowych i wyprawia się im orgiję adoracyj, po której największym bohaterom uczestnicy zabawy mogliby już tylko oddać pozostawioną dla stróża dziesiątkę i pijany komplement, że „pan, panie Mickiewicz, także wart jesteś buzi”.

Znalazłszy się niedawno w gronie dziennikarzy, robiłem im wymówki za takie postępowanie.

— Eh, daj nam pan pokój! co się mamy stawiać? Po co wychwalać ludzi nie naszych, po co ganić tych, którzy nam nic złego nie zrobili. Ja panu powiem: lepiej jest mieć dziesięciu przyjaciół, niż jednego nieprzyjaciela. To są, panie, rzeczy nowatorów; my tam świata czyścić nie myślimy... bocianami nie jesteśmy.

— Cóż wy, jednak, robicie.
— My? pracujemy. Nic, tylko spokojnej, uczciwej pożądamy pracy. Oto ja np. biorę sobie panie stałą pensyjkę od hrabięgo X., od księcia Z., od radcy Y., no i smaruję dla nich jak mogę i co mogę. Czasem się coś zefze, czasem, w wypadku biedy ludek zaczyna do rozumu się dobierać, kropnie się coś o waśnienu warstw pomiędzy sobą... To bardzo skuteczne, niech pan spróbuj. Czasem zresztą pada się palto księciu, albo się zapali fajkę hrabiemu—słowem praca i praca—spokojna, niezciwa i basta...

— No a pan?
— My skromniejsze mamy zamiary. Naszem polem działalności, areną naszą jest sfera maluczkich. Drukuje się co można: czasem powiastkę jaką sensacyjną—trochę o misternej kradzieży jakiej, trochę o pederastyi, trochę o rozprawianiu brzuchów... Ludek to czyta i rozumie. Nie podobna panie powiedzieć zgóry, co komu się przyda. Niech się uczy wszystkiego... Słowem pracujemy, jak można.

Zwróciłem się do trzeciego. Był obrażony trochę i zgorszony moją niewiedomością.

— My, panie, dziwna rzecz, że pan nie wie dotychczas, myśmy postanowili zgładzić Bismarka, wypędzić z Francyi Boulangerą, królowę Wiktoryję na tronie umocnić, Wilhelmo-wi III dodać otuchy, króla Humberta upewnić o sympatyi naszej dla jego siostry, a księciu Wiktorowi powiedzieć, żeśmy mu przebaczyli, bo tego wymaga dobro dynastyi... Powiadam panu, co za posłuch! Sam widok moich wąsów ich onieśmiela... Oprócz tego, za przykładem pewnego pisma zaprowadzamy rubrykę ogłoszeń o małżeństwach... pracu...

Ostatni z obecnych drgnął przy tych słowach nerwowo.

— Tak, za przykładem. Sądzę, że mnie pan nie potrzebuje pytać, co robimy. Myśmy pierwsi wprowadzili do prasy rubrykę stręczycielstwa... Interes świetny, wdzięczność w całym kraju. Pan nie wiesz, jakie listy odbieram. Niedawno z naszej łaski tabetyk jeden, gdzie aż na Kaukazie, dostał powiadam panu cacko, aniołka!.. Szesnaście latek, ślipki jak niebo—malowanie! A jaką to się przez to łączność utrzymuje pomiędzy odległymi ziomkami!... Słowem, pracuje każdy z nas, jak umie i jak czuje, że pracować powinien.

— Rozumiem, rozumiem.

Maryjan Bolusz.

GŁOSY.

Postanowienie o emigracyi. — P. Pszynczyński. — Pamiętnik Kostrzewskiego. — „Zgoda” brazylijska. — Komunikat urzędowy w sprawie teatrów.

— (x.) *Prawitielstwiennyj Wiestnik* podaje Najwyżej zatwierdzony w d. 28 marca st. st. projekt do prawa:

„Ministrowie skarbu i spraw wewnętrznych prosili o Najwyższe zezwolenie Jego Cesarskiej Mości na wprowadzenie w wykonanie następujących zarządzeń:

1-o. Uwolnić obywateli Królestwa Polskiego, którym dozwolone będzie opuszczenie ojczyzny od opłaty, czasowo na przeciąg lat trzech, 100 rs. za paszporty emigracyjne i

2-o. Upoważnić warszawskiego generał-gubernatora do wydawania tym osobom paszportów emigracyjnych bez wyjednywania w każdym poszczególnym wypadku Najwyższego na to zezwolenia.”

Na najpoddańszym raporcie ministrów skarbu i

spraw wewnętrznych, Jego Cesarskiej Mości własną ręką napisano:

„Wykonać.”

Nowoje Wremia zaopatruje to postanowienie takim komentarzem:

„Niejednokrotnie zapowiadano w gazetach, że na wiosnę emigracyja z Królestwa Polskiego do Brazylii powiększy się, bez względu na to, że, podług najnowszych wiadomości, Brazylija nie chce już przyjmować emigrantów i że zarządzone energiczne środki przeciwko agentom, namawiającym do wychodźstwa na terytoryjum państwa ruskiego. Na razie zarządzenia tego rodzaju nie mogą jeszcze oddziaływać w sposób należyty na obalamucone umysły, potrzeba pewnego czasu na wytrzeźwienie, ku czemu pomagają w znacznym stopniu listy emigrantów, opisujących o smutnych warunkach, w jakich się znajdują.

„W takim stanie rzeczy doniosłość nowego prawa jest niewątpliwą. Paszportów emigracyjnych udzielać będzie warszawski generał-gubernator, bez wymagania za nie dotychczasowej opłaty w wysokości 100 rs., ale tylko tym, którym opuszczenie ojczyzny będzie dozwolone. Zestawiając ulgi, jakich udziela nowe prawo, z przeszkodami, jakich doznają emigranci, należy przyznać, że sprawa wychodźstwa staje na gruncie prawidłowym, a emigracyja zostaje w pewnych wypadkach dozwoloną. W ten sposób znikają powody do uzalania się na utrudnienia władz w sprawie wychodźstwa i na przymusowe zatrzymywanie w granicach Królestwa Polskiego tych, co mają słuszne powody do wyjścia za granicę.”

„Należy też mieć nadzieję, że na przyszłość ani emigracyi potajemnej, ani też jakiegos opuszczenia kraju całemi partyjami nie będzie. Emigrowanie, komu jest potrzebne, uproszcza się i ułatwia, a wraz z tem zniknie z kraju nieco żywiołów niespokojnych, co wcale nie jest rzeczą zbyteczną.”

Dziennik petersburski żywi nadzieję, że wobec „mądrego i spokojnego postanowienia rządu” zamilkną w prasie nieracjonalne rozprawy o emigracyi i jej przyczynach.

— (p.) P. Stanisław Pszynczyński, który wydawał kiedyś na Szlasku pismo p. t. *Postęp Rolniczy*, od pewnego czasu objeżdża większe miasta w Rosyi, w których liczniej mieszkają polacy. Obecnie bawi on w Petersburgu i widocznie urządza sobie reklamę, jak o tem świadczy wiadomość, podana przez *Nowoje Wremia*.

„Stanisław Pszynczyński nie szczędził pracy około rozbudzenia narodowościowego samopoznania wśród niemiezonej usilnie polskiej ludności na Szlasku górnym. Usiłowania jego sprowadziły rezultat dodatni. Przez ciąg lat 14-tu p. Pszynczyński pracował nad rozwojem rolnictwa i przemysłu w kraju, w którym wydawał rolnicze i polityczne pisma i broszury, miewał odczyty i organizował towarzystwa rolnicze.”

— Od jednego z czytelników naszych na prowincyi otrzymujemy, co następuje:

„Wyczytawszy w biblijografii o ukazaniu się na półkach księgarskich książki p. t. *Pamiętnik Franciszka Kostrzewskiego*, sprowadziłem sobie ją w przekonaniu, iż praca p. K. jest uobiciem satyry i humoru. Zawiodłem się jednak srodze, gdyż są to luźne, bezładne notatki sybaryty i pieczeniara, napisane bez szczypty dowcipu. Nazajutrz po przejrzeniu tego „utworu”, natrafiłem przypadkowo w *Kuryjerze Warszawskim* na jego... ocenę: „Pamiętnik p. Franciszka” zachwalano tam okrutnie, pod niebiosa wynosząc humor autora. Nie chcąc przypuścić, aby „ocena” ta była istotnem przekonaniem jej autora, a nie mogąc odgadnąć właściwej przyczyny zachwalania książki bez wartości, pełnej trywialnych konceptów, napisałem niezwłocznie do Warszawy, do jednego z moich przyjaciół, uchodzącego tu u nas za wszechwiedzącego, z prośbą o rozwikłanie tej zagadki. Po upływie dwóch tygodni (warszawiacy nie śpieszą nigdy z odpowiedzią) otrzymałem list, z którego cytuję ustęp następujący:

„Wy bo zawsze jesteście niedomyślni, że nie powiem—nawni: przyjrzyj się dokładnie okładce *Pamiętnika*, mianowicie, czym jest on wydany nakładem, i przypomnij sobie jednocześnie, kto jest wydawcą *Kuryjera Warszawskiego*—a tajemnicę rozwiążesz bardzo łatwo.”

Na okładce przeczytałem „nakładem S. Lewentala”.

— A no, teraz już pojmuje, dlaczego tak chwalono w *Kuryjerze Warszawskim* trywialne notatki starego pieczeniara: w jednym wydawnictwie p. Salomona Lewentala reklamowano inne wydawnictwo p. S. Lewentala”.

(o). I Dygasiński, który zresztą niedługo w stolicy Brazylii bawił, i p. Nestorowicz, który podobno mieszkał tam dłużej, twierdzą, że w Rio de Janeiro mieszka zaledwie kilku polaków. Tymczasem otrzymujemy obecnie list z Rio, donoszący o zawarciu w tem mieście, jeszcze w grudniu r. z. stowarzyszenia polskiego pod nazwą *Zgoda*. Polacy, zamieszkali w Brazylii, nie mieli między sobą żadnej łączności, dopiero głośny fakt emigracyi zbliżył ich i zsolidaryzował. Inicyjatorem stowarzyszenia był p. St. Styczyński, prezesem obrany został inżynier F. Kwakowski, sekretarzem—J. Rybkowski. Na pierwszym walnem zebraniu zapisało się zaraz około 100 członków.

Zgoda pragnie przedewszystkiem nieść pomoc moralną a, o ile się da, i materyjalną przybywającym do Brazylii emigrantom polskim. Fundusze jednak ma bardzo szczupłe. Dla pozyskania sobie protekcyi stowarzyszenie wybrało na prezesa honorowego prezydenta rzeczypospolitej brazylijskiej, a kilku ministrów i dygnitarzy na członków honorowych.

Brak pisma polskiego stoi na przeszkodzie zawarciu bliższych i szybszych stosunków z emigrantami, mieszkającymi na prowincyi.

Na uwagę zasługuje ten ustęp odezwy, w którym mowa o położeniu emigrantów naszych w Brazylii. Przytaczamy ustęp ten dosłownie:

„Niemał wszyscy tu przybywający doznają ogromnego zawodu w swoich urojeniach o tym raju na ziemi brazylijskiej. Brak znajomości języka miejscowego, ogromny napływ emigrantów, przez co wielkie niewygody w podróżach, przy tak lichej komunikacyi, a co najważniejsza—klimat gorący—są to plagi dla naszych polaków i tutaj dopiero przekonują się, że są ofiarami nieszczęśliwemi agentów i handlarzy ludźmi, którzy ich do tej wędrówki namówili. Nielitościwa żółta febra, szcerbi szeregi naszych rodaków; wraca wdów po kilkanaście (za naszym staraniem) do Europy, nie zobaczywszy nawet grobu swojego męża—i nawzajem mąż nie wie nawet, kiedy mu żona w szpitalu umarła;—tak trudna podróż wodą i lądem i zaraźliwe choroby są przyczyną, że nawet połowa dzieci, które rodzice wywieźli ze swoich krain—już nieżyją! pochowane w głębiach morza lub w dzikich lasach, na pastwę zwierzętom łapieżnym!”

„Te wszystkie wiadomości, jako świadkowie naocni możemy przysięgą potwierdzić—i niech to będzie przestroga dla tych, którzy z Europy wybierają się jeszcze do Brazylii. Czytamy w gazetach, że w Królestwie mnóstwo ludu polskiego wybiera się z wiosną do Brazylii; dla tego ostrzegamy, że czeka ich los jeszcze gorszy, ponieważ roboty już niema tyle dla nich, jak z początku poprzednicy ich znaleźli, gdyż nietylko polacy, ale także wlochy, hiszpanie, portugale tutaj przybywają, z tą jednak różnicą, że ci ostatni, znając język miejscowy i pochodząc z pod gorącego klimatu, są jak w domu, gdy, przeciwnie, polacy najgorszą dolę zność muszą.”

„Powodowani uczuciem braterskiej miłości i zyczliwości, prosimy wszystkie organy polskie, tak w kraju, jako i zagranicą, aby pracowały nad tem, by to plemię polskie wstrzymać, tak samo jak od samobójstwa, aby przez lekkomyślność i przez chęć prędkiego z bogacenia się nie ginęło marnie”.

— (a) W sprawie teatrów warszawskich *Dziennik Warszawski* zamieszcza artykuł z urzędowego źródła:

„Wiadomości, komunikowane od czasu do czasu ruskim gazetom z Warszawy o tutejszych teatrach, nabierają charakteru tendencyjnego; tylko, że autorowie tych wiadomości, albo nie znają istotnego stanu rzeczy (w czem ich wina, gdyż nie ma nic łatwiejszego, jak dowiedzieć się prawdy, zwracając się po wiadomości wprost do źródła t. j. do dyrekcji teatrów, która, naturalnie, sekretów nie ma), albo nie chcą go poznać.

„O ile te wiadomości są pewne, dość spojrzeć tylko na ostatnią korespondencyję z Warszawy w *Nowem Wremieniu* z d. 17 (29) marca w N. 5,405. Czytamy w niej:

1) „W ostatnich czasach gospodarstwo teatralne tak było prowadzone, że obecnie uzbierało się 200,000 długu”.

„Jakie lata rozumie autor pod owemi ostatniemi—

nie wiadomo; ale gospodarstwo teatralne nie ma z tem nic wspólnego; długi teatru zwiększać się zaczęły od czasu zmniejszenia subwencji rządowej, t. j. od początku zeszłego lat dziesiątka. W ostatnim roku zamknięcie teatru Wielkiego, z powodu przebudowy, nie mogło nie zmniejszyć, i to znacznie, dochodów teatru w ciągu całego zimowego sezonu; przytem wszystkie stare dekoracje okazały się zupełnie nieprzydatnymi do nowoprzebudowanego i powiększonego teatru Wielkiego; trzeba więc było sprawić nowe dekoracje i odnowić cały inwentarz. Pomimo tego wszystkiego, dług teatrów w obecnej chwili jest o połowę mniejszy od wykazanego w korespondencji.

2) „Pensje artystom płacone są tak niepunktualnie, że otrzymują oni dopiero w marcu należność za grudzień”.

„Gdy w dzień wypłaty w kasie nie ma odpowiedniej ilości gotowizny, to pożyczają z kasy zaliczkowo-wkładowej artystów, tylko że procent płaci dyrekcja, nie artyści”.

3) „W tej zaliczkowo-wkładowej kasie, wbrew zwyczajowi we wszelkich instytucjach finansowych praktykowanemu, płaci się 18^o/_o. Cały ten pieniężny chaos nie dotyczy artystów” i t. p.

„Kasa zaliczkowo-wkładowa bierze nie 18^o/_o tylko 10^o/_o rocznie; kieruje nią komitet, wybierany z grona artystów i przez nich samych”.

4) „Z powodu wiadomego zajęcia z artystą Myszą, korespondent twierdzi, że „kontrakt kończy mu się w lipcu”.

„To nie prawda; termin kontraktu upływa w d. 1 (13) października”.

5) „Znany wypadek z artystką Modrzejowską, która deklamowała na koncercie wiersze, wzbronione przez cenzurę, zaliczono również na karb dyrekcji teatralnej, chociaż koncert ten był urządzony w prywatnym towarzystwie muzycznym, bez żadnego udziału teatru”.

„Warszawski korespondent Now. Wr. zapomniał o jednej okoliczności, że teatr, zarówno jak i inne instytucje rządowe, nie pozostaje bez kontroli, i że jest nad nim nadzór, i to dość baczny, władzy wyższej, która, jak się zdaje, umiała wykazać swoją dbałość”.

„Wyjaśnienia te wystarczą, zdaje się, do oceny wartości, sumienności i bezstronności owego korespondenta”.

Z KRAJU.

Wyznanie wiary i program współczesnego szlachcica.—Co jest w nim nieporozumieniem a co zasługuje na uwagę.—Kilka słów o równomiernem popieraniu.

Czy istnieje dziś jeszcze prawdziwy szlachcic? Ha, widocznie istnieje, kiedy nie tylko w *Gazecie Warszawskiej* pisze, ale nawet podpisuje się Slepowronem. Chociaż jednak pisze wcale dorzecznie, jak to niżej zobaczymy, nie przestaniemy twierdzić, że szlachta nie jest już wcale „gens distincta”, ale po prostu w dzisiejszem społeczeństwie klasowem odrębna warstwa większych właścicieli ziemskich. Nie jest ona „stanem”, jak chce autor, bo ani praw odrębnych nie posiada, ani nawet pochodzeniem się nie różni lub różni nie wiele od warstw innych. W klasie posiadaczy ziemskich więcej dziś na pewno mechesów np., aniżeli autentycznych, że tak powiem, „slepowronów”.

Komentarzem tym należy, zdaniem mojem, poprzedzić ciekawe wywody szlachcica z *Gazety Warszawskiej*. A teraz posłuchajmy, co on mówi:

„Jestem jeden z wielu, szlachcie ziemianin, właściciel kilkunastu włók ziemi, na której ja nie rozlewałem wina, a chłopci łez. Ojciec mój zmarł przed 30-u laty, a ja zająłem jego miejsce już na nowiu społecznym. Najmocniej brzmiał wówczas głos przeciwko nam zwrócony. Jak w wiekach średnich wierzono, iż zamurowanie żywcem człowieka w warowni nadawało jej szczególną oporność, tak i wtedy twórcy czerwonych latarek i przewodnicy nowej lunacyi okrzyknęli, że zamieniają społeczeństwo na niezdobytą twierdzę, zamurowany w jej fundamentach—szlachcica. Jakoż dla dobra publicznego zamurowano go (*in effigie*), ale nie całkiem: zostawiono mu ręce do góry wzniesione i głowę. W tym murze tkwi on dotychczas—przyznajmy—niezapomniany. Jedni, życzliwi, wkładają mu w ręce kamienie

lub smarują usta miodem; drudzy, nieprzyjaźni, obcinają mu powieki, ażeby niezmrudnem okiem patrzył w słońce; inni ciosają na jego czaszce kołki lub uderzają w nią maczugą. Pomimo to, on żyje”.

Autor nie rozumie, że „żyje” dziś nie ten wcale szlachcic, który dostawał cięgi przed 30 lub nawet 20 laty i że teraz pisma „demokratyczne” zasadniczo zmieniły podstawy swej krytyki. Co prawda, stara terminologija, od której trudno się odzwyczaić, nieraz różnicę tę zaciemnia.

„W siódmym dziesiątku obecnego stulecia, mówi autor, cała nasza prasa, a nawet literatura, rozlała się wobec szlachty na dwie strony: prokuratorów i adwokatów. Pierwsi widzieli w niej wszystkie występki, drudzy wszystkie cnoty; pierwsi wznosili dla niej piedestały, drudzy szubienice. Ponieważ jednak każdy człowiek *więcej się uczy od swoich nieprzyjaciół, niż od swoich pochlebców*, przeto—według mojego przekonania—*pierwsi wyświadczyli nam lepszą usługę, niż drudzy*. W przesadzie, w „malowaniu cyprysa”—jak mówi Horacy—tam, gdzie on wyrosć nie mógł, w złorzeczeniach, często w obelgach, usłyszeliśmy przynajmniej krytykę, która otwierała oczy, zwracała uwagę na błędy, zmuszała do poprawy. *Natomiast tak zwane pisma szlacheckie kazały nam, jak szczurom na ołtarzach, dusić się w dymach kadzidel*. Zapewniały one, że chociaż dyjabli biorą nas na swoje widły, nie przestajemy być aniołami, że chociaż wyśmiano nasze rozumy i wyciowano charakter—jesteśmy zawsze mądrzy, zawsze szlachetni. *Doszliśmy i doprowadzono nas do takiej nadwrażliwości, że mogliśmy oddychać tylko bezwzględnie dla siebie bulwochwalstwem, a wszelką naganę uważaliśmy za niesumienną potwarz*”.

„O ile tedy prasa szlachecka wpływała na nasze—że tak powiem—wychowanie publiczne, czyniła z nas ludzi, niezdolnych pojąć ani ducha czasu, ani jego logiki, zakochanych w sobie i swoim posłannictwie. Mimo, że ten i ów nie mógł podążyć za postępem wiedzy, mimo to, że niedostatek obciął mu poły—*chodziliśmy z głową zadartą, dmuchaliśmy przed siebie dumnie, spoglądaliśmy przez ramię na chamów i dorobkiewiczów wzgardliwie, wpatrując się w swoją gwiazdę, która miała być ogniem boskim, a rzeczywistość była tylko papierową latarką*. O zdanie warcholów nie dbaliśmy, jak o to, co pijany chłop wykrzykuje lub śpiewa za parkanem naszego dworu”.

Tymczasem na klasę posiadaczy ziemskich, czy jak chce autor, na szlachtę—posypały się ciosy dotkliwsze, „aniżeli papierowe gromy pism demokratycznych”. Przewrót w rolnictwie, wskutek konkurencji Ameryki, nieurodzaje, cła niemieckie i t. d. dały się potężnie we znaki ziemianom nowej formacji społecznej:

„Ostatecznie”—powiada autor—*wyłączyszyszycie koło ludzi bogatych lub zamożnych—jesteśmy odłuzeni, zrujnowani, bezradni, pozbawieni pomocy i coraz częściej pokalani takimi zmazami moralnymi, które dawniej naszego charakteru bardzo rzadko się czepiały*. Długi pozjadały już nawet ogony hipotek szlacheckich, kredyt dewastacyjami spłoszony, honor nadużyciami przy ratowaniu własnej skóry mocno poszarpany. Wprawdzie nasi patronowie dziennikarscy twierdzą dalej, że—jak powiada Zbylitowski—*bogowie włożyli nam w zawiniątko wszystkie cnoty, które „zawsze mają dostojestwo”, ale żydzi wierzyć temu nie chcą*. Dawniej słowo szlacheckie było twarzą opoką, dziś jest topniejącym lodem. Goła szlachta wyciąga błagalne ręce do uciekającego od niej kapitału, a nie mogąc dogonić, orzeźwia się zmęczona flakonikami perfum, których jej prasa konserwatywna tanio dostarcza. Powałonej niepowodzeniami ekonomicznymi, upadającej z wycieńczenia, pisma demokratyczne bić nie przestają. Jestto—według nich—gromada bankrutów materyjalnych i moralnych, którym trzeba ogłosić upadłość, gatunek zwyrodniały i wymierający, który musi ustąpić z widowni społecznej”.

Co prawda, pisma „demokratyczne” trochę inaczej mówią. Dowodzą one, że szlachta, jako stan, nie istnieje a raczej wymiera, że społecznie i ekonomicznie przekształca się ona w klasę posiadaczy ziemskich, a równolegle z tym procesem odbywa się radykalna zmiana całokształtu poglądów szlacheckich, dążeń i ideałów.

P. Slepowron, wobec potępiających wyroków zapytuje: czy ziemianie (a więc już nie szlachta) są istotnie żywołem bez żadnej wartości i bez uzdolnienia do życia, czy mają oni „cierpliwie leżeć na kowadle konserwatyzmu i pod młotem postępu”, po czem triumfująco odpowiada:

„Żaden stan nie może poszczycić się większym zasobem talentów, żaden równą kulturą obyczajową. Od najskrajniejszego wstępnictwa aż do radykalizmu wszystkie odcienia myśli odnaleźć można na skali szlacheckiej. Nauka, literatura, sztuka błyszcza gwiazdami tego pochodzenia. W naszym szlachcicu zmieścić się więc może cały człowiek cywilizowany, i nie potrzeba wymyślać dla niego osobnej, starej skory”.

Jest w tem wiele prawdy, ale też nikt nie przeczył, że umysłowość naszą do niedawna zasilali wyłącznie prawie, a dziś jeszcze w znacznej mierze zasilają ludzie pochodzenia szlacheckiego, lub synowie ziemian. Ale i tutaj znaleźć można pewne nieporozumienie. Szlachcic z urodzenia i ziemianin z zawodu może wyznawać przekonania radykalne, wtedy jednak nie zmieszczą się już one „na skali szlacheckiej” i wyznawca ich nie będzie już szlachcicem, ani obrońcą interesów ziemiańskich. Nie wielu z demokratów naszych przypadł w udziale zaszczyt pochodzenia z ludu polskiego, nie są oni jednak szlachcicami.

Kreśląc na zakończenie rodzaj programu, autor, chociaż dobrze nie zdaje sobie z tego sprawy, staje na stanowisku klasowem i wypowiada szereg zdań trafnych. Skonfederowana pod laską pana Lewentala codzienna prasa warszawska oświadcza się, jak wiadomo, przeciw waśnieniu klas społecznych a jeden z jej organów, *Słowo*, zapewnia p. Slepowrona, że „minęły już czasy wyodrębnień materyjalnych”. A jednak autor, ze swego klasowego punktu widzenia ma zupełną słusność, kiedy mówi:

„Zemianin ma swoje wymagania materyjalne, których tymbardziej pod płaszczykiem idealizmu ukrywać nie powinien, że żyjemy w epoce, w której każda klasa społeczna wyprowadza na jaw i nieraz aż do cynizmu obnaża swoje interesy. Odsłania je wielki przemysł, rzemiosła, handel, najmictwo i t. d., dla czego miały je tać rolnik? Więc upomina się o nie, chociaż słabo. A kto go popiera? Czy tak zwana prasa szlachecka, która mniema, że spełni swój obowiązek, gdy pochwali naszą gościnność, pobożność i bale, która w tym samym numerze przyciska do swego serca i producenta zboża, i wrogię mu fabrykanta lub kupca? Produkcja rolna w kraju, dla którego jest ona głównem źródłem bogactwa, nie cieszy się taką opieką, jak inne. Należy więc tę opiekę albo wytworzyć, albo uzyskać”.

„Ekonomicznie uznajmy się za osobną klasę producentów rolnych, połączonych nie łańcuchem spójni metafizycznych lub towarzyskich, ale interesów materyjalnych. Wciągnijmy w swoje koło wszystkich, którzy również z nami na roli w pocie czoła pracują. Jeżeli inne klasy występują solidarnie i bronią swych korzyści wytrwale, naśladowujmy je, a gdy zajdzie potrzeba, *podajmy z nimi walkę*. Dla tego celu wytwórzmy sobie organa własne zarówno wśród instytucyj, jak dzienników. Miejmy swoje, rzeczywiście swoje, a nie mieszaninę rozmaitych pierwiastków nadziewane, pisma peryjodyczne, któreby wszędzie i zawsze broniły naszych interesów. Niech te pisma przestaną nas okadzać frazesami, usprawiedliwiać naszych błędów i wykroczeń, niech nie pielęgnują w nas skamieniałości umysłowych, niech nie wmawiają, że jesteśmy mamutami cywilizacji, żywymi mumijami średniowiecznego konserwatyzmu. Jesteśmy bowiem i chcemy pozostać ludźmi, którym nic nie powinno być obce, co jest ludzkie, którzy zdolni są zrozumieć i przyswoić sobie wszystkie postępy wiedzy”.

Nie dziwnego, że „mieszaninę różnych pierwiastków nadziane” *Słowo*, czując że program autora, podważa racyję bytu t. zw. dzisiaj pism szlacheckich, kręci się i mydłkuje. Oświadcza np. naiwnie, że nie pojmuje, dla czego interesy producenta zboża a fabrykanta lub kupca muszą być wrogię. A no, chociażby dla tego np., że producent chce jak najdrożej sprzedać zboże, a kupiec jak najtaniej je kupić. Fabrykant pragnie również, żeby tanie

było zboże, bo wtedy spada cena pracy, zależna w znacznej mierze od cen produktów żywności. Zresztą, jak u nas np. fabrykant żąda wysokiego cła od wyrobów zagranicznych, co podnosi cenę wytworów krajowych, rolnik zaś chciałby wytwory te taniej nabywać. Zwracaliśmy już nieraz uwagę na dziwny fakt, że te pisma, które w zasadzie niby to bronią interesów ziemiańskich i spraw rolnictwa, gorliwie popierają protekcję celną nawet wtedy, kiedy bezpośrednio interesom rolników szkodzi. Takie niby to równomierne popieranie interesów wszystkich warstw społecznych jest nonsensem i w rezultacie zawsze dla kogoś z nich okaże się szkodliwym.

O harmonii interesów mowy być dziś nie może, co najwyżej wolno mówić o ustanowieniu czasowej równowagi, o kompromisie. Ale dla tego trzeba właśnie interesy klas różnych wyodrębnić, a nawet, jeżeli okaże się koniecznym, walczyć w ich obronie, jak powiada p. Slepowron. Nie jest to nasze stanowisko, ale rozumiemy, że na takim stanowisku utrzymać się można, będąc człowiekiem współczesnym, a nie mamutem średniowiecznego konserwatyzmu.

J. Nieborški.

Korespondencyja „Głosu”.

Siolo Kamieńskie, na Niżu Dnieprowym.

IV.

Odrębności grup robotniczych względnie do zajęć.—Wpływ inteligencji.—Stosunki na polu towarzyskim i intelektualnym.

Prócz tych czterech grup wybitnych, są jeszcze gromadki pomniejszych. Są tu Litwini. Jeden przybył na próbę, za nim przybyli inni. Ludzie ci na miejscu pracowali za 15—20 kop., tu otrzymują 80—100. Są to bezrolni, zaczęli przyjeżdżać od czasu, kiedy się dowiedzieli, że i tu jest kościół. Jest wielu dymisjonowanych żołnierzy, którzy nie chcieli wracać do kraju nad Wisłą. Z czasem dopiero wytworzy się z nich bardziej wyraźny typ robotnika. Cechą ich ogólną dotychczas jest to, że pracują szczerze i pragną się czegoś nauczyć. Mamy tu jeszcze gromadkę osób starszych; nazywam ich podupadłymi; w tej liczbie jest były ekonom, inny miał handelek, trzeci był maszynistą gdzieś tam, a dziś jest prostym wyrobnikiem, inny nawet choć nic nie powie, ale z poważnych jego rysów twarzy znać większą inteligencję.

Wśród czterech tysięcy w ten sposób zgrupowanych robotników inteligencja fabryczna wywiera swój wpływ bezpośredni. Zastrzegam się, że mówię tylko o wpływie, jaki człowiek moralnie i umysłowo wyższy bezwiednie wywiera na swe otoczenie.

Ponieważ w fabryce tutejszej panuje wzorowy ład i porządek, wyróżniający ją stanowczo od wielu równorzędnych zakładów w Rosyi i zagranicą, wpływ ten już z tego względu jest dodatni. Robotnikowi wdrażają się w obrębie fabryki pojęcia ładu i nietykalności, często mu obce. Robotnik nie widzi nadużyć i popełniać ich nie może. Wogóle dobrze jest traktowany i sam nie nabiera złych instynktów, nie dziejeje.

Nie we wszystkich jednak oddziałach fabryki robotnicy w jednakowych pod tym względem pracują warunkach.

Najlepszy duch panuje w stalowniach i w walcowniach; pracowników wiąże koleżeństwo z lat poprzednich, nadto ludzkie i wyrozumiałe traktowanie przez naczelników. Przeciwnie, najbardziej przygnębiające wrażenie robią piece koksowe i wielkie piece, gdzie jednocześnie pracują robotnicy zagraniczni i miejscowi, z powodu czego istnieje pewnego rodzaju antagonizm. Nadto szef, belgijczyk, nieznający żadnego języka prócz kiepskiej francuzczyzny, nie może się z robotnikami rozmówić, ani pojąć ich potrzeb lub sposobu życia.

Względnie przeto do sposobu, w jaki inteligencja obcuje z podwładnymi sobie robotnikami, rozmaite fuchy i oddziały przedstawiają rozmaity widok.

Przy piecach koksowych robotnicy pracują pod otwartym niebem. Czy skwarny upał, czy mokry śnieg z wiatrem—robotnik całe 12

godzin musi przebyć bez dachu. Zarząd nie pomyślał nawet o budowie skromnego drewnianego baraku lub szopy, gdzieby robotnik mógł zjeść obiad lub zmienić odzież, umyć się i rękiczki schować. Dlatego też nasi węglarze pod względem wyglądu i sposobu życia najbardziej zbliżają się do swego dzikiego prototypu.

Robotnik przy pracy lub po za fabryką zawsze jest brudny i czarny. Praca i brak wszelkich przy niej wygod i zainteresowania się ze strony zwierzchnictwa czyni robotników abnegatami. Do węglarzy pod tym względem najbardziej się zbliżają tak zwani „katari”, t. j. ludzie, przywożący w taczkach żelaznych materiały surowe, rudę, koks i wapień, do elewatora wielkich pieców; pracują oni także całe 12 godzin pod gołym niebem, a praca ich jest ciężka, bo waga taczki z rudą dochodzi niekiedy do 48 pudów. Taczki toczą się nie po szynach, lecz po ziemi, wysłanej płytami z żelaza lanego.

Fizyognomia robotników, pracujących przy wielkich piecach, znów jest inną. Robotnicy zawsze znajdują się pod grozą niebezpieczeństwa. Lada chwila może ich pozbawić oka lub nabawić niebezpiecznych oparzeń. Człowiek, pracujący zawsze w ogniu i strumieniu iskiei, nauczy się lekceważyć niebezpieczeństwo.

Ludzie ci gotują strawę na żelazie lub szlacie, jedzą wśród ognia, w zimie śpią na ciepłym piasku lub niezupełnie ostygniętych płytach żelaza. W lecie mają żar podwójny, z góry od rozpalonego przez promienie słoneczne blaszanego dachu, z dołu—od strumieni roztopionego surowca. Człowiek walczy tu jednocześnie z trzema groźnymi żywiołami: wodą, ogniem i powietrzem; w walce tej inteligencja nie okazuje mu pomocy. A jednak ludzie ci, gdyby pracowali 8 nie 12 godzin, gdyby mieli izbę czystą na zebranie się przed rozpoczęciem roboty, na spożycie obiadu lub wieczery, lub stół z lampą na przeczytanie gazety między spustami, byłiby najbardziej dostępni dla cywilizacji i więcej mieliby chęci do korzystania z jej darów.

Inne wydziały nie sprawiają na człowieku, zwiedzającym kuźnicę, tak przykrego wrażenia. Względnie wysokie zarobki — a może i inne cechy narodowego charakteru robotników — nadają pracującym w stalowni i w walcowniach więcej fantazyi i pewności siebie. Stalownicy, walcownicy i młotownicy mają także z ogniem i z czerwonymi „blokami” do czynienia, ale wrodzona zwinność łatwiej ich od wypadków chroni. Pracują pod dachem, a praca, wymagająca wielkiej wprawy i zadziwiającej siły i zręczności, nadaje robotnikom wiele elegancji. Robotnik musi być mistrzem swego fachu, w przeciwnym razie nie podoba robocie. Z niebezpieczeństwem spotykają się pracownicy także przy walcowaniu drutu. Do warsztatu stają tylko chłopy. Robotnik pracuje tu zwykle obwinęty osemką, zwinęty z rozpalonego drutu: jeden ruch niebaczny może mu podciąć nogi. Chłopy-drutownicy zarabiają po 45 rs. miesięcznie. Łatwo pojąć, że robotnik, który przy pracy musi w ruchach zachować zawsze równowagę i zręczność tanecznicę, i poza fabryką posiada harmoniję i elegancję w ruchach, w odzieży i we wszystkich swych upodobaniach. W stepie na przechadzce niedzielnej każdy odróżni walcownika od węglarza.

Wykazałem tu, że już przez samą zmianę warunków fizycznych pracy inteligencja może wpłynąć na usposobienie robotnika. Wpływ w sferze stosunków życiowych może być znacznie silniejszym.

U nas poza fabryką inteligencja niema żadnych punktów stycznych ze sferami robotniczymi.

Od czasu do czasu odbywają się wśród inteligencji ogólne zabawy, organizatorowie jednak, a bardziej sami bawiący się, ściśle przestrzegają, by na zebraniach nie proszono nikogo z majstrów (bo ci jedni z pośród robotników mogliby opłacić 5-cio rublowy bilet). Poza fabryką inteligencja unika wszelkiej styczności z warstwami niższymi.

Nie uważam tego jednak za objaw szkodliwy. Śmiało rzeć można, że na bliższym zetknięciu się z inteligencją robotnicy więcejby stracili, niż zyskali. Mówię to nie jako pesymista apriorystyczny i wróg inteligencji, lecz

jako uboczny spostrzegacz i wielbiciel domowych cnót naszego robotnika. Pytam: jaką korzyść odniesie robotnik z tego, że wejdzie w bliższą styczność z lepiej od siebie uposażonym zwierzchnikiem? Na wstępie zauważy, że człowiek inteligentny mieszka, żyje i bawi się lepiej i kosztowniej, niż on, robotnik. Że inteligent wydaje cały swój dochód, podczas kiedy on, robotnik, wydaje tylko połowę. Że inteligent na jedną zabawę wyda tyle, ile starczyłoby na miesięczne utrzymanie kilku rodzin. Że wreszcie w kółkach inteligentów nie tyle właściwa inteligencja, uczoność i wiedza, co zewnętrzny polor i umiejętność znalezienia się, sprytnie nadaje znaczenie i zyskuje poklask.

Lepiej przeto, że każda z warstw żyje życiem oddzielnym. Społeczność nasza dzieli się na 4 warstwy. Do pierwszej należą inżynierowie, znaczniejsi urzędnicy i ci z drobnych „kantorszczyków”, co posiadają wyższe wykształcenie. Do drugiej należy średnia inteligencja, drobni urzędnicy, majstrowie; do trzeciej specjaliści-robotnicy; czwartą warstwę stanowią prości wyrobnicy. Rzadkim jest fakt styczności pomiędzy oddzielnymi warstwami. Pierwsza warstwa spotyka się z drugą zaledwie na ogólnych zabawach, i wtedy zwykle damy pilnie uważają, żeby przy zakąsce przysiąść się do właściwego stołu. Nazwiecie to śmieszkiem, a jednak jest to rzeczą naturalną, bo dama tylko u właściwego stołu spotka się ze znajomym towarzystwem. Podobnie w szynkach ani ślusarze, ani walcownicy nie zbiorą się na kufelek w tej stancyi, gdzie piją „chochły”, stróże lub mularze.

Korespondenci prowincjonalni zwykle z ubolewaniem donoszą o tego rodzaju separatyzmie towarzyskim. W liście tym stwierdzam jedynie fakt i zarazem zaznaczam, że jest on naturalnym zjawiskiem społecznym. Zabawa zawsze jest bardziej szczerą, jeżeli się odbywa w ściśle dobranym kółku i jednolitem towarzystwie. Obecność innych, którzy mogą na zabawę spoglądać krytycznym okiem, tamiuje swobodę ruchu i ochoczość zabawy.

To też na zupełne uznanie zasługuje myśl osób, którym zależy na wprowadzeniu pewnej łączności pomiędzy oddzielnymi warstwami, że usiłowania swe ze sfery stosunków towarzyskich przenieśli na pole ściśle intelektualne. Myśl wspólnych zabaw i kojarzenia warstw na froterowanej posadzce została zaniechana. Powstały inne projekty. „Biblioteka pracowników” od kilku miesięcy stała się rzeczywistością; członkowie zebrali około 500 rubli na pierwsze potrzeby, książki są już w czytaniu. Na liście katalogowej widziałem przeważnie dzieła klasyków piśmiennictwa ruskiego, niektórzy członkowie prosili także o przekłady. U osób, wstępujących do czytelnicy, widoczną jest chęć zaznajomienia się z celniejszymi utworami tej bogatej i samodzielnej literatury. U ludzi, przybyłych zdala, ludzie przeważnie obcych, zasługuje na uwagę chęć bliższego poznania narodu, wśród którego los przeznaczył im żyć i pracować.

Śród grupy robotników warszawskich kiełkuje podobno myśl założenia biblioteki wspólnej. Dotychczas jednak wszystkie ich usiłowania skierowane są na utrwalenie bytu tutejszego domu modlitwy. Kościół katolicki mieści się w domu wynajętym, wkrótce jednak zapewne rozpoczęta zostanie budowa własnego domu. Ofiary zwrotne na ten cel wynoszą 4,100 rs., nadto zapewniony został materiał budowlany; brak tylko ziemi.

Tutejsze grono wiernych wyznania luteranckiego od kilku miesięcy ma swoją kaplicę; na jej utrzymanie wraz z pastorem i szkołą miesięczne składki wynoszą 105 rs.

B. N.

Przegląd społeczny.

Radom. (Kor. „Głosu”). Według informacji miejscowej gazety, zamiast dawnych dwóch okręgów górniczych w Królestwie Polskim (wschodniego i zachodniego) utworzono obecnie jeden, którego zarząd pozostawiać będzie w ręku „naczelnika zakładów górniczych w Królestwie Polskim” ze stałą siedzibą w Suchedniowie. Suchedniów jest to osada fabryczna

w pow. kieleckim, na granicy gub. radomskiej, zamieszkała, dzięki skoncentrowaniu zarządu górniczego, przez sporą garstkę inteligencji. Suchedniów posiada dość liczną szkołę dla dzieci górników. Obecnie naczelnikiem okręgu górniczego jest p. Choroszewski. Po zjednoczeniu okręgów zarząd w Suchedniowie obejmuje zakłady następujące: kopalnie rudy żelaznej w powiatach: kieleckim, ilżeckim i końskim, tlenie węgla w leśnictwach: Bodzentyn, Samsonów, Szydłowice, Kielce, Przedbórz i Zwoleń, wielkie piece w Bzynie, Mostkach, Samsonowie i Mroczkowie, warsztaty mechaniczne w Białogonie (pod Kielcami), zakład pudlingarni i walcowni w Sielpi, fryszerkę w Suchedniowie, kopalnie galmanu w pow. Olkuskim, huty cynkowe w Dąbrowie, wielki piec i fryszerki w Panach, walcownię w Sławkowie, kopalnie węgla kamiennego, wreszcie cegielnię i warzelnię soli w Ciechocinku.—W Nieklaniu, majątku hr. Platera i stacji kolei dąbrowskiej, około Końskich, ma być założony w r. b. zakład wodolecznicy. Miejscowość rzeczywiście wybrana sześciu. Położenie górzyste i lesiste, dobra woda, komunikacja bardzo ułatwiona—wszystko to sprzyjać będzie niewątpliwie szybkiemu rozwojowi zakładu, który, jak słyszę, ma być od razu postawiony na europejską stopę. Tunel pod Miechowem na drodze dęblińsko-dąbrowskiej grozi zawaleniem. Wskutek wadliwej budowy i użycia złych materiałów a braku cementu ściany pękają. Podobno zarząd urzędnikom, zmuszonym dokonywać wycieczek na wózkach odkrytych, sprawił drewniane parasole dla ochrony od tynku, spadającego z sufitu. W tych dniach inspekcja rządowa drogi, wraz z inspekcją delegowaną przez ministerjum wojny, miała odbyć dokładną rewizyję tunelu. Tymczasowo, na czas odbudowy tunelu ma być urządzoną linią objazdowa. Doprowadzenie do należytego stanu tego przekopu pochłonie znaczne sumy. *Rudomiak.*

Łódź. (Kor. „Głosu”). W swoim czasie narobiła wielkiego hałasu sprawa nabywania gruntów włościańskich przez przemysłowców łódzkich. Z przeprowadzonego śledztwa okazało się, iż winnymi byli nietylko mniejsi przemysłowcy, lecz i tacy potentaci, jak pp. Heinzel, Poznański i t. d. Przemysłowcy w sądach przegrali sprawę i musieli wyznaczyć inne grunta w zamian za nabyte przez nich. Grunta te miały być rozdane pomiędzy osoby stanu włościańskiego. Otóż obecnie specjalna komisja ma się zająć rozdziałem tych gruntów pomiędzy żołnierzy dymisjonowanych, należących do stanu włościańskiego. Komisja ta już zjechała do Łodzi.—Będziemy tu wkrótce mieli ciekawy proces, wytoczony przez p. L. kilku fabrykantom łódzkim, którzy podrabiali desenie, na jakie on uzyskał patent wynalazku.—We wsi Lublinku, w pobliżu Łodzi, w nocy z 16-go na 17-ty b. m., jak donosi *Dziennik Łódzki*, jacyś złodzieje ukradli dwie krowy miejscowemu koloniście Sonenbergowi, Nazajutrz poszkodowany, zavezawszy do pomocy sołtysa, rozpoczął poszukiwania. Zarządzono rewizję u kolonisty M., podejrzanego o współudział w kradzieży, i istotnie znalezione w komorze mięso z jednej krowy poćwiartowane, a potem i skórę z głową jeszcze nieoderwaną, ukrytą w stodole. Zebrało się kilku sąsiadów i zdecydowało aresztować M., a następnie zaprowadzić do urzędu gminnego. Ażeby zaś był przykład we wsi, jak piętnują złodziei, włościanie postanowili ubrać go w skórę krowią. Postanowienie to natychmiast wykonano: pod eskortą kilku ludzi wsadzono współnika złodziei w skórę z głową krowią na wierzchu, przeprowadzono przez wieś i dostawiono do wójta. Ze śledztwa okazało się, że drugą krowę sprzedał w Łodzi syn M., którego także aresztowano. *Pracownik.*

Częstochowa. (Kor. „Głosu”). Właściciele domów w naszym mieście starali się już oddawna o założenie towarzystwa kredytowego miejskiego, albo o połączenie się z łódzkim, lub też nakoniec o uzyskanie pozwolenia na założenie ogólnego towarzystwa kredytowego dla miast prowincjonalnych. Starania tych jednak nie uwieńczyło powodzenie, a długi hipoteczne i niehipoteczne z każdym rokiem wstają, wierzyciele zaś biorą procenty wysokie, gdyż 7⁰/₀—10⁰/₀. Chcąc się ratować, obywatele rozpoczęli starania w innym kierunku, a mianowicie, aby bank państwa udzielał pożyczek na zastaw nieruchomości. Jaki będzie rezultat tych starań—nie wiadomo. *Kor.*

Lublin. (Kor. „Głosu”). Jak wiadomo, na dzień 15 b. m. zwołano ogólne zebranie członków resursy kupieckiej, które miało być prawomocne bez względu na ilość obecnych, jako drugie w terminie. Przybyło tylko 46 osób. Po odczytaniu sprawozdania za rok zeszły i bieżący do d. 24 stycznia, rozpoczęto narady nad sposobem zlikwidowania interesów resursy, na co wyznaczono termin 15-miesięczny, czynność zaś tą powierzono komisji, złożonej z 7 członków. Resursa miała sporą salę na bale, wieczorki i koncerty, którą to salę postanowiono do czasu ukończenia likwidacji

interesów oddać do dyspozycji spółki teatru lubelskiego. Co do obrazów i biblioteki nie powzięto jeszcze żadnej stanowczej decyzji. W 1889 roku resursa z daru prywatnego otrzymała kilkanaście większej wartości obrazów, co stanowiło zaczątek zbioru. Podobno obrazy te mają przejść na własność towarzystwa lekarskiego. Bibliotekę zaś, złożoną z kilkuset tomów, jedni chcą sprzedać przez licytację, drudzy rozłosać pomiędzy członków, niektórzy zaś sprzedać towarzystwu lekarskiemu lub towarzystwu kredytowemu ziemskiemu z prawem odkupu.—W budżecie naszego miasta na 1891/2 r. na ogólną sumę 86,766 rs. 12 ¹/₂ kop. na utrzymanie policji i gmachu magistratu przeznaczono 20,695 rs., na straż ogniową 13,390 rs., na utrzymanie porządku, bruki i t. p., przeszło 10,000 rs., na oświetlenie 7,360 rs. 95 kop., na szkoły, szpitale i kasę oszczędności 5,904 rs.

Zoryjan.

Z CESARSTWA.

Wilno. (Kor. „Głosu”). Przesyłam wam dziś cyfr kilka, charakteryzujących stopień zadłużenia własności ziemskiej w „kraju północno-zachodnim”, mianowicie dotyczących liczby majątków, zastawionych w wileńskim banku ziemskim od chwili otwarcia tej instytucji do d. 13 stycznia r. b. Otóż najwięcej majątków jest zastawionych w gub. *kowieńskiej*, gdyż 1,259 (307,600 dzies. ziemi, na których ciąży jeszcze 9,900,000 rs. długu). Najbardziej są zadłużone powiaty: wileńskie, szawelski i rosieński; najmniej pow. telszewski. W gub. *wileńskiej* liczba zastawionych dóbr wynosi 870, a liczba zastawionych dziesięcin ziemi—443,300, obciążonych długiem 8,126,000 rs. Do najbardziej zadłużonych powiatów należy wileński; na drugim krańcu stoi pow. trocki. W gub. *witebskiej* zastawiono ogółem 560 majątków, zawierających 389,200 dzies. (suma długu 5,831,000 rs.). Najwięcej majątków zastawiono w pow. witebskim i dynaburskim, najmniej w pow. wieliskim i horodeckim. W gub. *grodzińskiej* zastawiono 409 majątków, 287,000 dziesięcin ziemi, obciążonych długiem 6,570,000 rs. Najbardziej zadłużony jest powiat kobryński, najmniej sokólski, gdzie zastawiono 6 razy mniej majątków, niż w pow. kobryńskim. W gub. *mińskiej* liczba zastawionych majątków jest prawie najmniejsza (401), lecz liczba dziesięcin ziemi—największa; 1,588,000 dzies., t. j. więcej niż w czterech poprzednich guberniach, razem wziętych, zastawione w banku rozległe dobra radziwiłowskie i po-wittgenstejnowskie są tego przyczyną; zresztą gub. mińska słynie ze swych *latifundjów*. Suma długu, obciążającego majątki w tej gubernii, jest również największą, gdyż wynosi rs. 12,796,000. Najbardziej zadłużone są powiaty: nowogródzki (najzamożniejszy) i miński; najmniej pow. mozyrski. W gub. *możyłowskiej* zastawiono 400 majątków (368,000 dzies. ziemi), obciążonych długiem 5,403,000 rs. Łącznie w „kraju północno-zachodnim” zastawiono w wileńskim banku ziemskim blisko 4,000 majątków (3,565,000 dziesięcin). Szacunek bankowy tych dóbr wyniósł rs. 92,507,000 rs., a suma wydanych pożyczek 52,693,000 rs. z czego pozostaje jeszcze do spłacenia 51,830,000 rs. szacunek przeciętny dziesięciny ziemi wynosił 25,9 rs.) pożyczka przeciętna na dziesięcinę 14,7 rs. Najwyższe szacowano ziemię w gub. kowieńskiej (57,3 rs. dzies.), najniższej—w g. mińskiej (14,1 rs.). *M.*

Petersburg. Ogłoszoną została nowa konwersja pierwszej pożyczki wschodniej. Z tego powodu *Ruskiya Wiedomosti* projektują skonwertowanie 5¹/₂ proc. listów banku włościańskiego i 5-procentowych biletów „wypukłych”. Środek ten zmniejszyłby znacznie opłaty chłopów.—Przesiedlanie się do Moskwy i gub. moskiewskiej żydów mechaników, gorzelników, piwowarów i rzemieślników zostało wzbronione. Przebywający już tam mają być stopniowo usunięci. Środek ten został już w wykonanie wprowadzony.—Przy budowie wschodniej części dr. żel. syberyjskiej użytą ma być praca galerników. Pierwsza przeznaczona na ten cel partja więźniów składa się z 600 ludzi.—Ceny zboża znacznie się podniosły wskutek przewidywań nieurodzaju zagranicą, w wielu miejscowościach Rosji przewidują też niedobór plonów. Zapasy zboża w Odesie i innych portach południowych zupełnie się wyczerpały.—W ostatnich czasach władze miejscowe rozpoczęły walkę z przeklinaniem w miejscach publicznych. Między innymi wystąpił petersburski gradonaczelnik, przypominając policji, że przeklinanie, chociażby nie zwrócone do nikogo, podlega karze.—W d. 21 kwietnia odbył się w Petersburgu wieczór literacki na cześć niedawno zmarłej Zofii Kowalewskiej, prof. matematyki uniwersytetu w Sztokholmie.—W d. 26 kwietnia towarzystwo miłośników literatury w Moskwie urządziło obchód 50-lecia śmierci Lermontowa. Odczytano kilka referatów i parę jego utworów.—W d. 24 kwietnia zmarł w Petersburgu znany literat i publicysta N. W. Szelgunow. Urodzony w r. 1824, zmarły ukończył korpus leśniczy i rozpoczął

karyerę życiową w służbie rządowej, z której wystąpił około r. 1860 w stopniu pułkownika. Początek jego działalności literackiej poświęcony był również leśnictwu. Znany w szerokich kołach, stał się zmarły jako współpracownik *Sowremienika* i *Ruskiego Słowa*; później zaś jako jeden z głównych współredaktorów, a czas jakiś redaktor odpowiedzialny *Diela*. Pisał przeważnie artykuły publicystyczne bez wybitnego talentu, ale odznaczające się szlachetną tendencją. W ostatnich latach był współpracownikiem *Ruskiej Myśli*. W końcu r. z. wyszedł wybór jego prac w 2-ch tomach.

W obronie Biłgorajek.

W studjum d-ra H. Bigeleisema *Mieszkaństwo i rzemieślnicy w poezji ludowej*, w N. 15 *Głosu*, jak wiadomo czytelnikom, znajdował się ustęp, poświęcony sitarkom w Biłgoraju. Od jednego z mieszkańców tego miasta otrzymaliśmy z tego powodu list, który chętnie umieszczamy poniżej, jako obronę współczesnych biłgorajek:

W 15-ym numerze *Głosu*, w artykule p. Biegeleisena znalazłem następujące zdanie: „Sitarki młodsze oddają się nierządowi, mężowie ich bowiem chodzą cały rok za zarobkiem, starsze zaś—pijaństwu”.

Biłgoraj znam dobrze, jednakże nic podobnego nie zauważyłem. Pijaństwo w Biłgoraju od lat kilkunastu pomiędzy mieszczanami jest rzadkim nadzwyczaj wypadkiem, sitarki w szynku nigdy spotkać nie można. Co zaś do nierządu, mogę zapewnić p. Biegeleisena, że nie jest on w Biłgoraju większy, aniżeli w innych miastach, a stanowczo jest mniejszy pomiędzy sitarkami, aniżeli pomiędzy żonami lub córkami rzemieślników innych. Nie przypuszczam, ażeby p. Biegeleisen podobne zdanie wygłosił bezpodstawnie.

Mam nadzieję, że p. B. nie odmówi mej prośbie i zechce mi wskazać, na podstawie jakich danych napisał wyżej zacytowane zdanie.

Biłgorajak.

List powyższy zakomunikowaliśmy d-rowsi H. Bigeleiselowi, który na uczyniony mu przez Biłgorajaka zarzut bezpodstawności odpowiedział co następuje:

W odpowiedzi na szlachetny protest *Biłgorajaka* oświadczam, że zdanie „Sitarki młodsze oddają się nierządowi, mężowie ich bowiem chodzą cały rok za zarobkiem—starsze zaś pijaństwu” wypowiedział O. Kolberg w dziele: „Lud, jego zwyczaj, sposób życia i t. d.”, „Lubelskie” część I, str. 97. Opisując tam stosunki sitarzy w Biłgoraju z lat 1860—1870, powiada dosłownie: Sitarki „codzień chodzą rano na mszę. Ale z kościoła idą starsze kobiety zaraz na wódkę do szynku. Pijaństwo jest tu bardzo rozpowszechnione. Żony bowiem bez mężów, którzy chodzą wciąż za zarobkiem, pozostawione same w domu, oddać się swobodnie mogą swym namiętnościom: jeżeli młode szukają kochanków (jednakże zepsucie to nie jest bynajmniej powszechnem), stare chodzą na wódkę z kumoszkami. Gdy przyjmują gościa u siebie, każą zawsze przynieść półkwaterek wódki (nigdy więcej) i, dopiero po wychyleniu tej porcji, posyłają znów po drugi półkwatek, a to się czasem kilkakrotnie powtarza. Gdy zaś w żniwa zakupią garniec lub więcej wódki na dożynki, baby, nie doczekawszy się tej uroczystości, same często ją wprzód wypiją, resztki zaledwie pozostawiając dla najętych żniwiarzy i żniwiarów”. Do tych słów spisanych przez Kolberga na podstawie dokładnej znajomości mieszczanek biłgorajskich, czego dowody złożył w szczegółowych i ścisłych danych statystycznych, odnoszących się do przemysłu, handlu, zwyczajów i t. d., a pomieszczonych w wymienionej seryi „Ludu” p. t. „Sitarze w Biłgoraju”. Kolberg w uwadze dodaje: „Handel i przemysł ten, jak nam o tem doniesiono w roku 1876, dziś się zmniejsza u chrześcijan, a przechodzi w ręce żydów. Sitarki młodsze oddają się w znacznej części pijaństwu. Jeżeli więc „pijaństwo w Biłgoraju od lat kilkunastu (t. j. mniej więcej od roku 1876) pomiędzy mieszczanami w Biłgoraju jest nadzwyczaj rzadkim wypadkiem”, jak twierdzi *Biłgorajak*, to zdanie jego odnosić się może tylko do stosunków lat ostatnich, których Kolberg nie opisywał. Tak więc godzi chronologia pozornie sprzeczne zdania Kolberga i *Biłgorajaka* o pijaństwie sitarek biłgorajskich. Co do ich nierządu zaś, to przeciw zapewnieniu *Biłgorajaka*, że „nie jest on (nierząd) w Biłgoraju większy, aniżeli w innych miastach, a stanowczo jest mniejszy pomiędzy sitarkami aniżeli pomiędzy żonami lub córkami rzemieślników innych”—podnieść należy tę okoliczność, że „sitarze biłgorajscy przyjeżdżają do domu raz na rok lub na 2 lata, a inni z odleglejszych okolic co lat kilka, i zabawiwszy w domu kilka tygodni znowu wyjeżdżają napowrót”. Była więc u sitarek większa

SZKICE FOTOGRAFICZNE

„Zakulego-Grodu”

przez
Kazimierza Glińskiego

(Dalszy ciąg).

Z torebki wyzierały smaczne, krągłe bułeczki i łapki pieczonych kurcząt. Za nią podążał Sadłowski z okrutną poszewką od poduszki, naładowaną po brzegi kielbasami, poledwicą i serem szwajcarskim, a dźwięk szkła zdradzał obecność niejednej butelki. Po chwili zjawił się pan Heljodor z blaszanymi pudełeczkami sardynek i Pistroński z Kraszewskim w kieszeni. Szli, jechali, kurz i gwar napełniał powietrze.

Wtem dał się słyszeć turkot szybko jadącego pojazdu i piękny powóz, ciągniony przez dwa szarogniade rumaki, zatrzymał się u mostu.

Lekko, jak sarenki, wyskoczyły z niego Dosia i Zosia. Kiryło niósł ogromny samowar, panie miały w delikatnych rączkach pudełka z cukierkami i różne ciastka w dużych papierowych torebkach, oznaczonych firmą miejscowej cukierni.

Rozmawiając, śmiejąc się, gestykulując, wtłoczyli się wszyscy na dygoczący mostek, spiesząc na wyspę, na brzegu której stał już ksiądz Anioł, patrząc z daleka na ten wąż długi, barwny, sunący się szybko z jakimś łoskotem głuchym, szmerem i szelestem niewidzianych, jeno słyszanych skrzydeł. Wąż ten wydłużał się, kurczył, zmieniał barwy i kształty, wrzście wysunął ogromną, błyszczącą głowę i ruszając się na lewo, to na prawo, pełził naprzód.

Był to Kiryło z samowarem.

Ksiądz Anioł pośród tego tłumu szukał jednej tylko postaci. Niełatwo było rozpoznać zdaleka, fantastyczne stroje zmieniły wszystkich. Mężczyźni oczywiście pozostali w swoich estetycznych żakietach i surdutach, w których worek plewy albo Apollo Belwederski zrównaliby się kształtami: pierwszy nabyłby wdzięku, ostatni z wdzięku coś stracił i mogliby uchodzić za dwóch braci rodzonych. Cywilizacja nasza wielką krzywdę w tym względzie wyrządziła estetyce. Barwy niepewne męskich ubrań, popielato-szare, lub szaro-popielate, mają być piękniejsze od barw zasadniczych, pełnych, jakimi, cała odznacza się przyroda; podcięte poły surdutów, szmat sukna na piersi i reszta ubrania, w którym bardzo przyzwoicie afrykański słońby wyglądał, odpowiadają niby lepiej wymogom piękna, niż starożytna toga o fałdach obfitych, grecka chlamida, fantastyczny strój hiszpana lub barwny żupan pradziadów. Bądź co bądź, pozbywszy się wiele cech barbarzyńskich, w stroju naszym stworzyliśmy barbarzyństwo estetyczne. Zmysł piękna kobiet ochronił je od tego.

Kostiumy naszych pań były prześliczne, z wyjątkiem Adeli i Honoraty, które, choć rade były za pasterki się przebrać, lecz dla względów moralnych musiały pozostać w codziennych strojach. Zresztą, pierwszej ksiądz—wuj, drugiej—wuj ksiądz, zabronili *kuso* się ubrać. Panienki za to i młode małżatki złożyły egzamin gustu i fantazy: Tam różnobarwnym skrzy-

dłem zatrzepotał motyl, tu lekka wyfrunęła jaskółka; jutrzienka w powiewnej, różowej szacie, z drżąca, melancholijną gwiazdą nad czołem, przykuła się do poważnej nocy, której szata powłóczysta, czarna, srebrnymi usiana gwiazdami, ciągnęła cień długi za sobą. Tam znów czarnoooka hiszpanka prowadziła rozmowę z dziewczyną ukraińską; królowa w purpurze, uśmiechała się do ubranej w barwiste łachmany cyganki—Dyjana z kołczanem strzał otoczyła ramieniem żydówkę młodą. Ale strój nocy, jutrzienki, motyla i królowej ustąpić musiał przed sielankowym strojem pasterki, bo też pasterka była śliczna jak marzenie. Na samym końcu szła Józyczka w ubraniu trynitarzem, dwubarwny, sukienny krzyż świecił na przodzie habitu, ręce, modlitewnie złożone, trzymały różaniec. Honorata i Adela zachwycone były pomysłem.

Ksiądz Anioł z brzegu wyspy patrzył, lecz w natłoku nie mógł znaleźć tej, której wzrok jego szukał mimowolnie.

Wyładował Kiryło, za nim posunął się wąż, lecz zaledwie dopadł brzegu, prysnął nagle i rozlał się na wsze strony falą dźwięków i barw. Kiryło tylko nie puszczał samowara, nawoływał pokojówki, przybyłe z niektórymi paniami i zszedł do transportowej łodzi, gdzie układać zaczął przywiezione zapasy.

Zaczęły się powitania, uściski i całowania rąk księdza, który witał przybyłych uprzejmie z uśmiechem na ustach, a zadumą na czole. Zaszumiało jak w ulu, kiedy rój ma wyruszyć dla wyszukania sobie siedziby nowej.

Nagle wpadł Ratałyński, wszyscy rzucili się do doktora.

— A niespodzianka?... prawda, niespodzianka? — zawołał... Myśleliście, że już nie przybędę, będąc do chorego wezwany, ale u mnie umarli z grobu wstają, gdy im tędy i tędy krew puszczał...

— Więc Jadzewicz już ma się lepiej? — spytało głosów kilka.

— Jak ryba! — huknął doktor, a wyobraźcie sobie, że wezwał Chrzanowskiego? — szczęście że nie zastał go, a do mnie się zwrócił.

— Co było pocziwemu prezesowi?

— Chorób ze czterdzieści naraz, niebywała komplikacja!... Czkawka, atak apoplektyczny, kurcze żołądkowe i swędzenie w karku. Powiadam wam — muzyka!... Ratu! — wrzeszczał... Ja mac-mac... Gorączka piekielna!... Nagle czknał i nogi odrzucił. Nie wiele myśląc, krew z obu żył puszczałam, potem jak dam mu tędy i tędy, powiadam wam muzyka! — miło słuchać. I nim się opamiętałem, już szelma do winta usiadł. Ztamtąd wałę do Jakokowicza, który od dwóch tygodni czegoś nie domaga, ale sam sobie winien. Żyje jak asceta, zagładza się tędy i tędy. Musiały mu jednak pomódz apertury, bo w domu nie zastałem.

Adela i Honorata trąciły się lekko.

Ksiądz Anioł usiadł pod rozłożystą lipą i patrzył na przesuwaną się tłum przed nim. Przeszła noc, mignęła jutrzienka, motyl przeleciał; pasterka witała się z córą Italii, królowa usiadła na murawie. Koło nich kręciły się estetyczne surduty; żartowano, bawiono się wesoło, a głośno.

Nagle z tłumu wybiegła żydówka. Piękna młoda, w stroju, które przed laty czterdziestu jeszcze ozdabiał izraelitki. Złote *muszki* przyciskały nad czołem bujne warkoczki włosów, włosów za jasnych dla mieszkanki nawet północy; *pendele* błyszczącą frendzlą ozdabiały piersi, długie kolce spadały na ramiona.

Podbiegła, stanęła przed księdzem i srebrnym zawołała głosem...

— Kto ja?

Ksiądz podniósł oczy, w których malowała się miłość bezgraniczna, patrzył długo na stojącą przed sobą, nie mogąc spojrzeć swoich oderwać.

— Nie poznajecie mnie? — odezwała się dziewczyna łamanym językiem.

Z ust pytanego wypadły słowa, ciche, wyszeptane bez rozkazu woli...

„Żydówkaś po ubiorze, żydówkaś po głosie...”

Oczy widzą żydówkę, ale serce... Zosie!”

Wyciągnął rękę...

Nagle wstał... twarz mu zbieła, ale to trwało chwilę. Spokojnie podaną dłoń ujął, uściśnął i rzekł zupełnie swobodnym głosem:

— Wybacz pani tej improwizacji, wybacz, że w niej ośmieliłem się nazwać ciebie po imieniu. Poeci mają czasami to wyjątkowe prawo — ja przed chwilą byłem... poetą!...

Zosia zaśmiała się.

— Prześliczny wierszyk! — zawołała — ale to początek, gdzie koniec?

— Gdzie koniec? — powtórzył ksiądz... Nie ja go dośpiewam.

— A kto?

— Pan Gustaw! — zawołała nagle Dosia, stając za plecami Zosi.

Zosia odwróciła się do pięknej pasterki, która nie spostrzegła się nawet, jak parę klapsów dostała.

Śmiejąc się, wzięły siebie pod ręce i pobiegły na brzeg rzeki, gdzie przybijały łodzie. Nie zauważyły więc, że czoło księdza pokryło się trupią białością.

— Siadać! — odezwały się męskie głosy od brzegu.

— Panowie! — zawołał Sadłowski — małeńka propozycja!...

— Sadłowski ma głos — krzyknął Ratałyński — słuchamy!

— Słuchamy! — odezwało się tu i tam.

— Możeby, przed rozpoczęciem nawigacji, coś przetrząść?

— Co? — zabrzmiało przeciągle.

Sadłowski powtórzył, ale ogólne: nie-nie! były wymowniejsze nad wszelkie przedstawienia zgłodniałego.

Rzucono się do łodzi... Na przodującej ozwiała się orkiestra polonezem grzmiącym, uderzyły wiosła, zakolysały się łódki i z szumem fal ruszyły.

Łódek wszystkich było dwanaście.

Na pierwszej, która, wysunawszy się, w pełnym oddaleniu naczelną trzymała miejsce, siedział Kiryło z samowarem i pokojówki, mające straż nad zapasami. Na drugiej była muzyka — dziesięć następnych przepełniali nasi znajomi i reszta towarzystwa.

Okrążywszy wyspę, wypłynęli na głębie... Tu rzeka rozpostarła się szeroko, fale drgały lekko i raziły oczy patrzących, bo słońce pełnym blaskiem rozlało się na powierzchnię wód i migotało połyskliwie w falach wiecznie rucho-nych.

Zaczęły się gonitwy...

Łodzie śmigały jak jaskółki, panie dodawały bodźca mniej wytrawnym wiosłarzom, zachęcały do zwycięstwa, tryumfatorom rzucały kwiaty, które, jak roztrzpiotane motyle, z łodzi do łodzi latały. Śmiech, wrzawa napełniły powietrze jak kryształ czyste. Nagle Sadłowski wrzasnął i o mało do rzeki nie wleciał.

To łódź się rozbijała straszliwie...

Figle pań — nic więcej!

— Panno Zofijo!—pani Doroto!—błagał Sadłowski... Proszę siedzieć spokojnie, bo...

— Ajajaj!—krzyknął znowu, dla tejże samej racyi co wprzód.

— Ależ my siedzimy spokojnie—odezwały się napastowane, choć wcale nie jesteśmy nierade takiemu kołysaniu się łódki.

— Tu w cztery chłopcy będzie... Panie! panie!! panie!!! — chwytając się siedzących obok, krzyknął Sadłowski, bo łódź rozbijała się znowu.

Tym razem dostrzegł sprawcę zamachu na swoją spokojność. Był nim skromny trynitarz, aniołek Józiczka. Na bocznej ławeczce siedziała spokojnie, zda się, Bogu ducha winna, ale gdy tylko uwaga płynących w inną stronę zwróciła, pochylała się szybkim ruchem ku wodzie, mrugnięciem dawała znak, by jej pomógł studencik jakiś—i jazda!... Sadłowski krzyczał, ona sznurowała nabożnie usteczka, licząc paciorki, trzymanego w ręku, różańca.

— Panno Józefo!—to, jak Boga kocham, jest nieprzyzwoicie — zwracając się do niej, wołał zasapani Sadłowski.

— Nie wiem w czym pan widzisz nieprzyzwoitość?—odpowiedział trynitarz.—Czy w spokojnej postaci mojej, czy w swoich konwulsyjnych ruchach?

— Niech pani znajduje się grzecznie, to i ruchów konwulsyjnych nie będzie.

— Niech pan nie robi ruchów konwulsyjnych, a uprzejmość pańska na naganę nie zasłuży.

— Ciekawym, coby pani zrobiła, gdybym hulknął do wody?

— Siedziałabym tak spokojnie, jak teraz siedzę.

— Nie wiem, kto panią uczył miłości chrześcijańskiej?—parsknął Sadłowski.

— Niema ona związku z zawarowaniem bezpieczeństwa pana...

— Bawi się pani w prorocstwa, które bynajmniej mnie nie uspokajają.

— A mnie zupełnie!

— Z jakiej racyi—jeśli łaska?

— Z tej, że co ma wisieć, nie utonie—odpaliła bez namysłu.

Śmiech buchnął, aż echa odezwały się w rozpadlinach skalnych.

— Aniołek!—mruknął pod nosem Sadłowski.

W tem ktoś zaintonował: Z tej i owej łodzi odezwał się głos jeden, drugi—do popisu stanęli śpiewacy... i pieśń zabrzmiała.

Trzymała prym Dosi... Zosia nie zostawała dłużną. Dziesięć łodzi zamieniło się w arf dziesięć. Oczy wszystkich były podniesione ku niebu, to opuszczone ku rzece. Wsłuchani i wpatrzeni tylko w pieśń byli.

Śpiewało głosów sto.

Ale w pół pieśni dołączył się głos jeden, z ogólnego chóru wypłynął i ujął berło królewskie.—Brzmiał czysto, świecił dziwną jasnością, wielki, potężny!... Echa, które chwytaly głosy wszystkie, umilkły naraz, porwały tylko ten jeden i niosły daleko.

To śpiewał ksiądz Anioł.

Zwrócony twarzą do skał, widział nad sobą niebo jasne, przed sobą zieloną pierś ziemi. Nie dbał, czy był słuchany — chciał jeno ból wszystkich z piersi wydobyć. Twarz miał błądą, oczy przymglone, ręce opuszczone na kolana. Zdawało się patrzącym, że w pieśń się wcielił, że sam był pieśnią.

Huczne „brawo!” przerwało marzenia księdza. Łodzie przybiły do brzegu.

Piękny, wonny las sosnowy, szerokie zakreślał koło; na wzgórzu płonęło już duże ogni-

sko, dym walił kłębami, trzaskały smolne gałązki i skwierczały kupy suchych liści chwytane przez ogniste języki. Koło ogniska uwijał się Kiryło, co chwila nachylał się i dał potężną piersią w samowar, aż skry sypały się u dołu. Na murawie leżały wydobyte już z torb i koszyków zapasy, służące uwijały się z ręcznikami, wycierały szklanki, nakładały na półmiski zimne mięsiwa, konfitury do szklanych miseczek, owoce do kloszów. Wszystko szło szybko, porządnie pod dyrekcją Jakokowicza.

Nie spodziewano się zastać go tutaj. Wtajemniczone tylko były dwie osoby: Adela i Honorata, ale te nie zdradziły obecności brylanta, chcąc sprawić towarzystwu radość wielką pojawieniem się jego.

Jakokowicz powracał do świata—inaczej być nie mogło; odosobnienie zresztą nie leżało w jego planach. Musiał być obecnym; patrzeć i wypatrzeć to, co Honorata i Adela za pewnik już uważały. Przeszło dwutygodniowa zmyślona choroba, która go oddaliła od Dosi, wpłynęła też uspakajająco na jego, ostatnimi wypadkami, zdenerwowany organizm. Spotkać się z Dosią bał, ale prędzej czy później—musiał. Dzisiejszą chwilę uważał za najstosowniejszą, tem bardziej, że Henryk z majątku nie wracał, a z Dosią, bądź co bądź, zerwane nitki nawiązać trzeba było. Otwarte działanie uważał tu za najlepsze. Dowiedziawszy się o majówce, szepnął na ucho ubóstwiający go paniom, że czuje się bardzo dobrze i że—pragną niespodziankę spacerowiczom zrobić—pośpieszy na miejsce zebrania, zajmie się uporządkowaniem przybywających zapasów i z brzegu wspaniała mową towarzystwo powita.

— Jakokowicz!... Kajcio!...—odezwały się głosy wysiadających na brzeg.

— Muzyka!—huknął Ratałyński.

— Ja, ja nim jestem — najzaciejsi mężowie i najświętsze niewiasty...

Od tych wyrazów rozpoczął oracyję.

Mówił długo, a zakończył następującemi słowy:

Możebym dawno ziemski już opuścił padół
I głową grzeszną usunął się het na dół,
I gdy się życie smutnym końcem mgli się,
Tych bóstw widokiem meby oczy nie pasły się;
I głos pastereczki

Tu zwrócił się do Dosi:

...Co tak lubo grucha

Klarnetu dźwiękiem nie wlatywały do ucha,
Gdyby nie istic doktorska potęga,
Która do źródeł żywotności sięga,
Bo gdy się boczy skażona natura
Czoło jej stawi śmiała apertura!

— Brawo, Kajciu, brawo!—huknęły od brzegu głosy mężkie.

— Brylancie! brylancie!—wołały przyjaciółki Kajcia, wyciągając ramiona.

— Apertura! niech sam powie—grzmiał Ratałyński.

— Jedyńy środek, konsylijarzu—powtórzył Jakokowicz, rzucając się w objęcia doktorskie.

Był uszczęśliwiony z przyjęcia, dumny z rymów, które kuł przez całe dwa tygodnie.

— Czy to rzeczywiście pana wiersze?—zapytał Heliodor Pikorski.

— Rym jeden od *** skiego wziętem — reszta moje od początku do końca — upewniał Jakokowicz.

Zaczął witać przybyłych, szukać przysiadac, wszystkim paniom całować rączki; Pistrońskiego porwał w ramiona, Sadłowskiego w brzuch palnął, wreszcie podskoczył do Dosi.

— Pastereczko...

Umilkł nagle, bo Dosi przeszła, najmniejszej nie zwróciwszy nań uwagi.

Dla Dosi Jakokowicz przestał istnieć.

Kajcio udał, że tego nie spostrzegł, przypadł do księdza Anioła i w ramię go kilkakrotnie ucałował.

— Jeść!—krzyknął Sadłowski, rzucając się na ziemię u stóp Kiryła.

Wziął się do obrabiania indyka, ale sam jeden, bo reszta towarzystwa rzuciła się w las, rozpoczęły się gonitwy, śmiechy, nawoływania...

— Ku-ku! — odezwała się kukulka w głębi lasu...

— Ku-ku!—przedrzeźniając ptaszka—odpowiedział srebrny głos Dosi—za nią poszły inne i rozpoczęło się kukanie.

Znaleźli się na wielkiej, zieloną trawą zarosniętej polance...

— W *cercceau!* — zawołał ktoś z towarzystwa...

— Przepyszne miejsce!—odpowiedziano.

— W kółka!... w kółka! — zadzwoniły głosy panienek...

— Kółka—kije!...—krzyknął Jakokowicz.

Wykręcił się na pięcie, pobiegł do Kiryły, który główną straż trzymał nad powierzonymi sobie rzeczami—i za chwilę pozyleciał pędem, niosąc stosowne do gry przyrzady.

Narzucił się na wodzireja.

— Pan tu!—pani tam!... Ładna cyganecka przy krzaczku będzie łaskawa zająć miejsce... a ty, uroczą pastereczko—tu!

Ale pasterka przeszła na inne miejsce, czego Jakokowicz udawał, że nie uważa. Uważał jednak, że stanęła niedaleko księdza Anioła.

— Aha—rybko!—mruknął.

Pobiegł, roznosząc dalej rozkazy, dobierając kije i kółka.

— *Commencez!*—zawołał, i cisnął obręcz w powietrze.

Złapał trynitarz—rzucił w kolej... Furknęło razem kółków czterdzieści i gra poszła żwawo, przeplatana gromkiem brawem, śmiechem nagłym, to głośnie mi żartami Ratałyńskiego...

— Łapaj, bo aperturę postawię!... wołał do jednego z panów, który, zadarłszy nos do góry, sunął naprzód, śledząc oczyma kółko, ogromny łuk zakreślające w powietrzu...

— Panienko! — ospę na nosku zaszczipię—rzucał w drugą stronę.

Panienska nie chciała mieć ospy na nosku—biegła szybko, by dogonić obręcz nieprawidłowo rzuconą.

— Bacność, doktorze!—bo teraz my ciebie weźmiemy w obroty—zabrzmiało naraz głosów kilkanaście i tyleż kółek furknęło nad Ratałyńskim.

Ratałyński rzucił się, ale żadnego ułović nie mógł. Skoczył na lewo, aż tu z prawej strony wprost na głowę mu pada, chciał chwycić to właśnie, bo łatwiejszem mu się zdało, ale oto dwa naraz wirują nad nim. Podniósł głowę, ręce uniół do góry, w tem z boków pomyka jedno, drugie, trzecie... Skoczył tu i tam—lecz zanim dobiegł do pierwszego, drugie upadło... zawrócił do trzeciego, za daleko już było.

— Muzyka!—krzyknął—widząc daremne zabiegi, i zmęczony rzucił się na murawę!

Panienski podbiegły do doktora...

(Dalszy ciąg nastąpi).

spodobność do nierządu, niż u żon innych rzemieślników. W pieśni ludowej, której poglądy na mieszczaństwo wyłączenie się w *Głosie* zajmowały, znalazły więc odbicie, jak to się zwykle dzieje w poezji ludowej, stosunki dawniejsze, których mój oponent nie uwzględnił.

Dr. H. Biegeleisen.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Jeden z twórców dzisiejszej potęgi prusko-niemieckiej, hr. Helmuth Moltke zmarł w 90 roku życia. Pochodził on z dawnej rodziny niemieckiej, osiadłej w Danii, był synem generała duńskiego i w duńskiej też armii rozpoczął swoją karierę wojskową. Niebawem jednak przeniósł się do armii pruskiej i pierwsze swe wawrzyny zebrał podczas wojny duńsko-niemieckiej. Jego „genjusz” wojenny zabłysnął w całej potęgę podczas wojen 1866 i 1870. Jego to dziełem były świetnie opracowane plany wojenne i nowe pomysły strategiczne, które zapewniły zwycięstwo armii pruskiej, a przez to pozwoliły dynastji Hohenzollernów dokonać zjednoczenia Niemiec na swoją cześć i chwałę. Skromny i milczący autor zwycięstw wynagrodzony został tytułami, dostojenstwami, czcią i pieniędzmi bardzo hojnie. Wysokie stanowisko naczelnika sztabu generalnego opuścił Moltke zaledwie przed rokiem, pozostając jednak i nadal członkiem wyższej komisji wojskowej. Cesarz Wilhelm otaczał go wielkim szacunkiem za życia, po śmierci zaś wyprawił mu królewski pogrzeb. Zasługi Moltke wobec Niemiec nie ulegają wątpliwości, śmierć jego jednak nie jest właściwie żadną stratą. Jakkolwiek pracował on ciągle nad planami wojskowymi aż do samego zgonu, w każdym razie jednak był to już starzec, na którego czyjś nikt liczyć nie mógł. Wobec ludzkości i cywilizacji nie położył Moltke żadnych zasług, nie wiem więc dlaczego pewne pismo warszawskie zapewnia o współzuciu całego świata ucywilizowanego.

Po za śmiercią Moltkego zajmują się w Niemczech żywo wyborami w Geestmünde, które odbędą się w d. 30 kwietnia. Losy ks. Bismarka są dotąd niepewne. Chodzi, jak wiadomo o to, czy welfowie i wolnomyślni oddadzą zań swe głosy, czy nie. Otóż wolnomyślni nie ogłosili dotąd żadnego w tym względzie postanowienia, pozostawiając widocznie zupełną wolność wyborcom. Natomiast jeden z dzienników welfickich oświadcza, że na Bismarka żaden hanowerczyk głosować nie powinien, dając do zrozumienia, iż z dwójga złego lepiej już głosować za socjalistą. Dzienniki rozpisują się o postawie, jaką zajmie Bismark w parlamencie. Że będzie ona opozycyjną wobec dzisiejszego rządu, nie ulega to żadnej prawie wątpliwości. Filipiki *Hamb. Nachr.* przeciw uległości konserwatystów, którzy świeżo w sejmie pruskim zgodzili się na reformę ordynacji gminnej, jakoteż wystąpienia księcia przeciw traktatowi handlowemu z Austryją wskazują drogi, jakich się trzymać będzie w polityce wewnętrznej. Z innych kwestyj wewnętrznych wywoła jego opozycję prawdopodobnie pewna zmiana polityki wobec polskich kresów monarchii, która zaznaczyła się zaprzestaniem nasyłania nauczycieli ludowych z prowincji niemieckich, jakoteż pozwoleniem na wykłady religii w szkołach ludowych w języku ojczystym. W polityce zewnętrznej ex-kancleerz również różni się znacznie od rządu obecnego. Książę coraz wyraźniej zaczyna wypowiadać się przeciw Austrii, a za polepszeniem stosunków z Rosyją. W ostatnich dniach wyszła w Dreźnie broszura p. t. *Untergang Oesterreichs* (upadek Austrii), której autorstwo jemu właśnie przypisują.

Kłopoty adresowe w Wiedniu wciąż rosną. W komisyi na ten cel wybranej zarysowały się odrazu różnice poglądów. Już podczas objaśnień z ministrami Plenar podniósł potrzebę zajęcia się prawodawstwem ekonomicznym i wzniesieniem jedności i siły państwa. Biliński, zgadzając się z poprzednim mówcą, akcentował konieczność dalszego rozwoju samorządu krajów. Romańczuk ubolewał, że dotąd całe warstwy i całe narodowości pozbawione są odpowiedzialnego udziału w życiu konstytucyjnym, wyraził jednak nadzieję, że część przynajmniej tych niesprawiedliwości usunięta będzie niezwłocznie na drodze administracyjnej. Wypracowanie adresu powierzono Bilińskiemu. Postanowił on dogodzić wszystkim. Lewicę niemiecką zjednać miał ustęp o sile państwa, autonomistów ustęp o samorządzie, nawet młodocześni mieli być uwzględnieni w jakimś specjalnie dla nich wsadzonym frazesie.

Przyszły jednak (jak zapewniają) minister komunikacji podjął się niełatwego zadania. Projekt jego nikomu się nie podobał. Nawet Koło zażądało pewnych zmian. Poprawiona jednak redakcja wydała się

za autonomistyczną centralistom i za centralistyczną autonomistom tak, że obecnie nie wiadomo, czy adres Bilińskiego uzyska większość i z kogo ta większość się złoży.

Posiedzenia wiedeńskiej rady państwa odznaczają się zwykle spokojem, a nawet sztywnością, dopiero w ostatnich czasach antysemita wprowadzili pewne ożywienie. W tych dniach doszło nawet do niebywalego dotąd w Wiedniu hałasu. Podczas rozpraw nad wnioskiem o święceniu niedzieli przez subjektów antysemita Schneider przerywał wciąż liberała Sigmunda, który projektowi oponował, głośnymi krzykami: „Żydzi! Najemnicy żydowscy! Obdzieracie chrześcijan i nie chcecie im dać nawet chwili odpoczynku”. W sprawie wdał się rabin Bloch z Kołomyi i między nim a Schneidrem doszło do wymiany wcale nieparlamentarnych grzeczności. Z wniesionych projektów na uwagę zasługują Bilińskiego o opodatkowaniu giełdy, oraz Plenera o zmianie systemu wyborczego z kurji wiejskiej. Dotąd chłopci wybierają nie wprost posłów, lecz tylko ich wyborców (wahlmanów). Plenar proponuje wprowadzenie bezpośredniego wybierania posłów.

Izba francuzka rozpoczęła obrady nad taryfą celną. Pisaliśmy niejednokrotnie o wielkiej doniosłości tych obrad. Reakcja przeciw protekcyjnizmowi wzrasta. Sfery, zainteresowane handlem wywozowym, są przerażone wiadomościami o odwecie, jaki gotują Francuzi państwa, mające się związać z Niemcami w pewnego rodzaju uniją celną. Protesty zainteresowanych mnożą się. Do ich liczby przybywają obecnie literaci, zatrwożeni wieściami, że własność literacka i artystyczna francuzów za granicą uznawaną nie będzie. Groziłoby to znacznym uszczupleniem dochodów koryfeuszom literatury. Zola oblicza, że ze sprzedaży dzieł swych po za granicami Francuzi ma około 20,000 fr. rocznie.

Afryka przez długi czas zapewne będzie dawała wciąż powody do zatargów i nieporozumień. W tych dniach właśnie zaledwie potrafiło załagodzić poważny zatarg Anglii z Portugalią z powodu aresztowania okrętów angielskich na rzece Pungwe. Nie dość na tem grozi zatarg inny. Boerowie transwalscy mają zamiar założyć nową rzeczpospolitą w zlotodajnej krainie Maszona, do której rości pretensyja angielska kompanija wschodnio-afrykańska. Gubernator Caplanda protestował, lecz czy skutecznie, przyszłość okaże.

W Rzymie silne wrażenie wywarł wybuch w prochowni, który poczynił ogromne straty. Dużo domów prywatnych ucierpiał, uszkodzonymi zostały też Watykań, kościół Św. Piotra i t. d. Śledztwo nie wykryło dotąd żadnych śladów zbrodni, która, jak sądzono, była powodem katastrofy.

Izba włoska przyjęła projekt rządowy zmiany dzisiejszego systemu wyborczego z list na system okręgowy.

Jak wiadomą, dotąd Rumelja Wschodnia uważa się urzędowo za general-gubernatorstwo tureckie, którego zarząd powierzono na 5 lat księciu bułgarskiemu. Ponieważ termin ten właśnie upływa, prasa więc zagraniczna donosiła, że Rosyja skorzysta z tej sposobności i zażąda usunięcia ks. Ferdynanda z general-gubernatorstwa. *Nord* oświadcza, że Rosyja i nadal zachowa zupełną obojętność na sprawy bułgarskie i o żadnym proteście nie myśli.

Królowa Natalja Serbii opuszczać stanowczo nie chce, powołując się na konstytucyję, która nie pozwala na wygnanie z kraju żadnego obywatela. Gdyby rząd chciał zachować ściśle przepisy konstytucyi, to dla wydalenia królowej musiałby zwołać t. zw. „wielką skupczyną” i zmienić paragraf konstytucyi. Wobec kłopotliwości tego kroku rząd pewno się cofnie i królowa Natalja pozostanie, da to jednak powód królowi Milanowi do nowego przyjazdu do ukochanej ojczyzny i co za tem idzie do nowych wymagań pieniędzy.

Angielska komisya królewska dla zbadania kwestyi robotniczej, złożona z deputowanych obu stron, przedstawicieli robotników i t. d. rozpoczęła już swe czynności.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Rozporządzenia rządowe.** Nowe prawo zakazuje oddawania w posiadanie dożywotnie nieruchomości wiejskich w dziewięciu guberniach kraju zachodniego, zakaz dotyczy osób pochodzenia polskiego. — Z ogłoszonego w „Gońcu Urzędowym” Najwyższego rozkazu wynika, iż w r. b. przeznaczono na budowę cerkwi prawosławnych w Królestwie Polskim i w guberniach zachodnich 200,000 rub. do rozporządzenia ministerjum spraw wewnętrznych i 150,000 rub. do

rozporządzenia synodu prawosławnego. — Ministerjum spraw wewnętrznych utworzyło specjalną komisję, której powierzono rewizyję praw, co do władania przez cudzoziemców własnością nieruchomości w Rosyi. Do składu komisji wchodzi delegaci ministerjum sprawiedliwości, wojny i dóbr państwa, a nadto będą wezwani niektórzy gubernatorzy z gubernij południowo-zachodnich. — Rada państwa rozpatruje obecnie, jak donosi „Wil. Wiestnik”, projekt ministerjum finansów w przedmiocie zabezpieczenia losu robotników i ich rodzin w razie kalectwa lub śmierci, Rada w zasadzie ustanowiła: 1) iż osobą odpowiedzialną przed poszkodowanym może być tylko sam właściciel przedsiębiorstwa; 2) w razie śmierci lub kalectwa robotników przy wszelkich robotach budowlanych, odpowiedzialność spada na przedsiębiorcę robot, jako mającego bezpośredni nadzór nad robotami; 3) sprawy o pretensyje winny być rozpatrywane tam, gdzie nastąpił wypadek, nie zaś w miejscu zamieszkania pozwanego i 4) w razie, jeżeli winnym wypadku okaże się zarządzający robotą, to właścicielowi przedsiębiorstwa służy prawo poszukiwania na nim strat, skutkiem wypadku poniesionych. — Ogród botaniczny w dniu 23 kwietnia został otwarty dla publiczności.

— **Kronika społeczna.** Liczba studentów w uniwersytecie warszawskim wynosi obecnie 1,121. Najwięcej, bo 588 studentów uczęszcza na wydział lekarski, z tych 375 jest katolików, 39 prawosławnych, 20 luteranów i 54 żydów; na prawnym znajduje się 350 studentów, z tych 220 katolików, 91 prawosławnych, 12 luteranów i 27 żydów; na matematycznym 72, z tych 34 katolików, 33 prawosławnych, 3 luteranów i 3 żydów; na przyrodniczym — 60, z tych 27 katolików, 29 prawosławnych i 4 żydów; na historyczno-filologicznym — 50, z tych 46 prawosławnych i 4 katolików. — Urzędowe dane wykazują, iż w ciągu miesiąca lutego zmarło w Warszawie 709 osób, z tych 366 mężczyzn i 343 kobiet. Nagłej śmierci był wypadek jeden, samobójstw zdarzyło się trzy. — Egzaminacyja na stopień technika komunikacyjnego odbywać się będą w r. b. w zarządzie warszawskiego okręgu komunikacyjnego od 27 b. m. do 27 września. Komisya egzaminacyjną stanowią inżynierowie: Kosteniecki, Habdank-Korzybski, Łukomski, Meriakri, Marszewski i Wuzzel. — Pod nazwą „Przezorność”, zyskało zatwierdzenie nowe towarzystwo ubezpieczeń „na życie i od wypadków nieszczęśliwych” z siedzibą w Warszawie. Towarzystwo to, koncesyonowane na całe państwo, jest akcyjno-wzajemnym, a zawiązane zostało przez najwybitniejszych obywateli, finansistów i przemysłowców Królestwa Polskiego z kapitałem zakładowym 500,000 rubli, stopniowo umarzanym przez coroczne losowanie akcji. Tak akcyjonaryjusze, jak i ubezpieczeni, są uważani za członków towarzystwa, mających prawo wglądu w bieg jego czynności i zabierania głosu na zebraniach ogólnych, oraz mają zapewniony udział w czystym zysku, osiąganym na operacyach towarzystwa.

— **Kronika ekonomiczna.** Obroty banku handlowego w Łodzi wynosiły w r. z. rs. 156,634,807, t. j. o 4 milijony mniej niż w roku 1889, skup weksli osiągnął sumy rs. 12,129,671 i przyniósł 129,313 rs. zysku, rachunki bieżące 59,380,254 rs. i t. d. Zysk czysty w roku zeszłym wynosił ogółem 196,057 rs., z której to sumy zgromadzenie akcyjonaryjuszków przeznaczycyło 10 proc. na fundusz zapasowy, 5 proc. na korzyść rady, 2 proc. na korzyść zarządu, 5,675 rs. na kasę przezorności dla urzędników, zaś 150,000 rs. na dywidendę po rs. 25 od akcji. Fundusz rezerwy banku wynosi obecnie 432,592 rs., czyli około 25 proc. kapitału akcyjnego. — „Dz. Łódzki” donosi: Fabrykanci sukna czynią starania w departamencie przemysłu i handlu, ażeby wyroby z wełny sztucznej nosiły właściwą plombę i stemple, wyciśnięte na każdym arszynie z odwrotnej strony. Bez stempli towar taki byłby konfiskowany na korzyść zakładów dobroczynnych. — Według danych urzędowych, w roku zeszłym znajdowało się w powiecie łódzkim (oprócz miasta Łodzi) wszystkich zakładów przemysłowych drobnych 2,138, a mianowicie zakładów tkackich 1,158 (z tej liczby 526 przypada na wsie), bednarskich 12, powroźniczych 11, wyrobu waty 6, wyrobu gwoździ 6, wyrobu gontów 4, blacharskich 15, białoskórniczych 4, kowalskich (kuźni) 139, farbierskich 11, masarni i rzeźni 124, kołodziejskich 31, kotlarskich 3, wyrobu czapek i kapeluszy 9, wyrobu szcotek 4, nożowniczych 2, ciesielskich 25, szewskich 154, ślusarskich 19, piekarskich 86 (w tej liczbie 1 piekarnia, wyrabiająca specjalnie ciastka), mydlarskich 1, kuśnierskich 1, siodlarskich i rymarskich 13, tokarskich i innych 299, cukierni 1. W zakładach powyższych pracowało ogółem 5,292 robotników, Produkcye tych wszystkich zakładów obliczono na sumę 3,471,599 rubli. — Rezultaty pierwszych trzech miesięcy tegorocznej kampanii cukrowniczej, jak wykazuje „Wiestnik Finansów”, są pomyślniejsze, niż w odpowiednich miesiącach kampanii przeszłorocznej, zarówno pod względem ilości, jak i jakości produkcji. W obecnym okresie przerobiono buraków pudów 25,508,003, wówczas, gdy w r. 1889/90 przero-

biono tylko 23,819,034 pudów, t. j. mniej o 11.3^o/_o. W pasie guberni południowo-zachodnich ilość przerobionych buraków wynosiła 15,729,799 pudów, czyli więcej o 17.3^o/_o, a w Królestwie Polskiem 3,371,353 pudów, czyli więcej o 14.6^o/_o. Nieznaczne zmniejszenie dostrzedz się daje w pasie środkowym, gdzie ilość przerobionych buraków w okresie sprawozdawczym wynosiła 7,406,005 pudów, t. j. była mniejszą od przeszłorocznej o 0.8^o/_o.

— **Szkoły i oświata.** W roku zeszłym pod zarządem łódzkiej dyrekcji naukowej, która obejmuje całą gubernię piotrkowską, składającą się z 8 powiatów, znajdowały się następujące szkoły: 3 gimnazya męskie, 2 gimnazya żeńskie, wyższa szkoła rzemieślnicza sześćo-klasowa, 3 aleksandrowskie szkoły miejskie, 3 rządowe dwuklasowe szkoły początkowe, 468 rządowych początkowych wiejskich ogólnych jednoklasowych, 13 prywatnych początkowych fabrycznych jednoklasowych, 22 prywatne religijne, t. zw. kantoraty (wyzn. ewangelickiego), 19 niedzielnych rzemieślniczych, 2 niedzielne handlowe, 62 prywatne zakłady naukowe, 221 chederów żydowskich—razem 819. Do szkół powyższych uczęszczało ogółem 44,385 uczniów płci obojga, to jest: w szkołach miejskich uczyło się 15,563, w wiejskich zaś 28,822 uczniów. Do 78 szkół w Łodzi uczęszczało 6,921 uczniów.

— **Literatura i sztuka.** Tomasz Maretić, profesor gramatyki porównawczej na wszechnicy w Zagrzebiu, który przełożył poprzednio „Iliadę” i „Odysseję”, wydane przez „Maticę Hrvatską”, ogłasza obecnie w „Viecu” dalsze urywki z „Pana Tadeusza”, poczem ma się ukazać całość w książkowym wydaniu prawdopodobnie tej samej „Maticy”.—Czasopismo „Łuzica”, wychodzące w Budzysynie, podało przekład „Polowania na męża”, komedii Michała Bałuckiego; przekładu dokonał Ernest Muka.—Franciszek Coppée, napisał nowy dramat p. t. „Pour la couronne”, który niebawem będzie wystawiony na scenie komedii francuskiej. Rzecz dzieje się na półwyspie bałkańskim w XV stuleciu za panowania Mahometa II-go. Bohaterami dramatu są dwaj wodzowie Mahometa, syn i ojciec. Dom Moliera zamierza wystawić sztukę z niebawem dotychczas przepychem. Akcja jednak aktu toczy się w górskim przesmyku Balkan, zarząd więc teatru wysłał na miejsce specjalnego dekoratora, który panoramę miejscowości na dekoracje teatralne przeniesie.—Emil Zola wyjechał do Sedanu w celu gromadzenia materiałów dla nowego swego romansu p. t. „La Debacle”.

— **Rozmaitości.** Korespondent „Kaliszanina” donosi z Koła o wizycie dwóch francuzów, którzy z Paryża idą piechotą do Moskwy. Na pożegnanie mieszkańcy Koła ofiarowali im po bukietcie fioletów i wydawali okrzyki:

„vive la France!” Korespondent „Wieku” zauważył przesadę w podziwianiu w ogóle wytrzymałości rzeczonych francuzów, podróżujących dla rozrywki, bo przecież w r. 1812 tysiące francuzów tę samą drogę i z powrotem w znacznie gorszych warunkach odbyło.. W Wilnie znowu, jak donosi kor. „Ziarna”, zjawili się także francuzi, dążący z Paryża do Moskwy na szczydach (przymocowanych do stóp), w kożusku baranym na wywrót, o długiej brudnej szerści. Podejmował go agent konsularny Francji szampanem i fotografowano go. Żydzi wileńscy byli bardzo radzi szczydlności; obawiano się, żeby go w tłoku ze szczydeł nie stracono.

Odpowiedzi od Redakcyi i Administracyi.

P. Kocz. w Żar. Rub. 3 otrzymaliśmy, z których zaliczyliśmy 50 kop. jako dług za Bellamy'ego „W r. 2000”, 2 rs. 25 kop. na prenumeratę.

P. Drąż. w Bol. Głusz. „Gawędy”, oraz brakującej dodatek „Inst. Kościel.” zesz. I wysłaliśmy.

Bractwo Akad. we Lwowie. Zaginiony nr. 1 wysłaliśmy; do listu Sz. Panów, nieomarkowanego, dopłaćliśmy 20 kop., o zwrot których prosimy.

P. Skrzypl. m. Ejr. „Gawędy” wysłaliśmy.

Prenumeratorowi z Lublina. W jesieni r. b.; o dacie będą zawiadomienia w pismach.

OGŁOSZENIA GŁOSU.

Adres: ulica Mecała
Nr. 12.

Cena całego dzieła, Cena zeszytu
opłacona z góry 7 rs. 15 kop.

Encyklopedya
Encyklopedya
Encyklopedya

E. H.

Humoru
Humoru
Humoru

Cena tomu opła- Wychodzi mniej więcej
conego z góry 2 rs. w odstępach tygodn.

Wyszłi z druku zeszyt XLIII.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe
pedagoga Plato v. Reussnera

NAJLEPSZA METODA

do nauczania się bez Nauczyciela czytać
pisać i rozmawiać po niemiecku w 3-eh
miesiącach, po angielsku w 24 lekcjach. Ce-
na metody niemieckiej kurs wyższy rs. 1 k. 60.
Komplet, t. j. kurs niższy i wyższy razem, tyl-
ko 2 rs. Metoda angielska z wymową, kurs
niższy k. 75. Najlepszy Elementarz Pol-
sko-Niemiecki i Rusko-Niemiecki z wy-
mową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop.
35, 30, 20 i 10 (oprawny kop. 45). Najnowszy
Elementarz Polski z 20—40 wzorkami pis-
ma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem
340 Figur, tudzież ze wskazówkami pedago-
gicznymi k. 25, 20, 15, 10 i 5. Powieści Pol-
sko-Niemieckie 20 kop. Powieść Ali-Baba
i 40 zbojców 15 k. Myśliwi Giezm, po-
wieść 10 k. Na przesyłkę pocztową dopłaca się
do każdego rubla po k. 20.

Skład główny u autora (P. v. Reussnera) ulica
Marszałkowska Nr. 142 w Warszawie.

DIWANY, wszelkie pokrycia
meblowe, Kołdry,
Kapy, Chodniki,
Serwety, najlepiej kupować w głów-
nym składzie Gietżyńskiego, Mar-
szałkowska 137.

DOSTAWCA DWORU

Cesarsko - Austryjacko - Węgierskiego.



„EXSICCATOR”

Niszczy grzybek drzewny
i osusza wilgoć raz na za-
wsze i t. p.

Broszurkę, niezbędną dla
każdego budującego wyśłam
franco i bezpłatnie.

Wyn. Inż. Tech. G. RITTER
Królewska Nr. 39.

Nakładem redakcyi „Głosu” wy-
szło z druku nowe wydanie słyn-
nej powieści Edwarda Bellamy'ego

W ROKU 2000

ozdobione portretem autora i u-
zupełnione rozdziałem dodatko-
wym.

Cena 60 kop.

Nakładem Głosu wyszło z druku
dzieło

Herberta Spencera
pod tytułem

INSTYTUCYJE POLITYCZNE

tlómaczone z oryginału przez
J. K. Potockiego.

Cena rs. 2 kop. 40.

Dla prenumeratorów „Głosu” rs. 1 k. 80.

Są do nabycia jeszcze I i II zeszy-
ty **INSTYTUCYJ POLITYCZNYCH** po
cenie 80 i 60 kop. Dla prenumera-
torów „Głosu” cena 60 i 45 kop.

Francuzkie knotki do lampek.

SKŁAD

M. MASZKOW

Krak.-Przedmieście 23, róg Trębackiej

poleca:

Herbatę świeżą i wyborową od rs. 1 k. 20 do
rs. 4 za funt, szczególnie gatunki w cenie
rs. 1 k. 80, rs. 2, rs. 2 k. 20 i rs. 2 k. 60, od-
znaczające się wyjątkowym smakiem i aro-
matem; Samowary najnowszych fasonów,
tombakowe i mosiężne z celniejszych tul-
skich fabryk, Miseczki, Czajniki, Maszynki
do kawy, Noże stołowe, Szczoty, Miednice
itp. Wybór znaczny. Ceny bardzo umiar-
kowane.

Francuzkie knotki do lampek.

Hurtownie i detalicznie.



Hurtownie i detalicznie.

KRAWIEC
T. MIECZWIĘDZKI
Hr. Berga Nr. 2.

otrzymał materiały sezonowe.